DWUTYGODNIK POLITYCZNY

RZECZPOSPOLITA

Nr. 44.] SOBOTA 24. GRUDNIA 1910. [Rocznie......10 K (4 Rb., 8 Mk.
[Półrocznie 5 K (2 Rb., 4 Mk.

Zmiany w Wiedniu.

Jeśli się chce obecną politykę Koła Polskiego ocenić rzeczowo i spokojnie, należy sobie poprostu zadać pytanie: czy Koło Polskie mogło w sprawie kanałów postąpić inaczej niż postąpiło?

Ustawa z r. 1901 o budowie kanałów była najważniejszą zdobyczą gospodarczą Koła Polskiego dla kraju, dla rolnictwa tak samo jak dla przemysłu, i to nie tylko w ostatniem dziesięcioleciu ale wogóle od wielu dziesiątek lat. Sprawa wydawała się najzupełniej pewną. Popierwsze dlatego, że stała się ona ustawą. Powtóre dlatego, że Koło Polskie już za nią zapłaciło, bo budowa kanałów okupiona została budową kolei alpejskich, budową portu tryesteńskiego, budową kolei podziemnej wiedeńskiej, t. zn. wielkiemi inwestycyami na rzecz innych krajów koronnych, uchwalonemi przy współdziałaniu Koła Polskiego. Nagle w tym roku rząd oświadczył krótko i stanowczo Kołu Polskiemu, że ustawa z r. 1901 nie będzie wykonana, zasłaniając się wątpliwościami co do rentowności kanałów a przedewszystkiem brakiem pieniędzy w skarbie. Niepodobna było ugiąć się przed tem uzasadnieniem, bo niewiara w rentowność kanałów polegała poprostu na tendencyjnych obliczeniach umyślnie w tym duchu sporządzonych, a pieniądze, gdy się naprawdę chce, zawsze się znajdą. Mówiono o odszkodowaniach, ale gdy bliżej o nich mówić zaczęto, okazały się one prostą ułudą, gdyż znowu nie widziało się skąd znajdą się na nie pieniądze, tak że pozostawało tylko przypuszczenie, że odszkodowania rzekome wejdą poprostu w budżet galicyjski i wypchną zeń inne inwestycye, a nadto odszkodowania te trzeba było dopiero wywalczyć i zapewnić ich urzeczywistnienie. Wobec tego przedstawiciele kraju naszego nie mogli zrobić nic innego jak stanowczo obstawać przy ustawie z r. 1901. Gdyby pozwolili na zniweczenie jej w krótkiej drodze jednem słowem rządu, nie tylko zaprzepaściliby tę jedną ważną sprawę gospodarczą, ale co więcej na długi czas zabiliby całą powagę polityczną Koła Polskiego zarówno wobec rządu i parlamentu jak wobec kraju. W mniejszych sprawach Niemcy lub Czesi występują raz po raz nieubłaganie, a Koło Polskie miałoby być pochyłem drzewem? O innem stanowisku Koła Polskiego poprostu nikt poważnie myśleć ani mówić nie mógł. Więc też we Lwowie d. 19. listopada b. r. Koło Sejmowe oświadczyło się jednomyślnie za wykonaniem ustawy z r. 1901 a w Wiedniu d. 6. grudnia Koło Polskie poleciło swemu prezesowi, by w tym kierunku „użył wszystkich przystępnych dla Koła środków parlamentarnych". Ponieważ na porządku dziennym Izby było właśnie uchwalenie prowizoryum budżetowego, prezes Koła Polskiego oświadczył prezydentowi gabinetu, że wprawdzie Koło Polskie nie uchwali wprost głosować przeciw koniecznościom państwowym, ale że ławy jego będą zapewne bardzo przerzedzone w chwili głosowania, jeśli przedtem nie nastąpi zwrot w sprawie kanałów. Mniej zrobić i oględniej to przeprowadzić było niepodobieństwem. Kto sądzi inaczej, niech to powie.

Po rozmowie prezesa Koła z prezydentem ministrów nastąpiła dymisya całego gabinetu. Tylko tyle powiedzieć można sumiennie i napewno, a nic więcej. Nie można mianowicie twierdzić, że oświadczenie Koła Polskiego było jedynym powodem dymisyi, albo że musiało ono wywołać aż przesilenie. Wszakże mogły nastąpić układy, zapewnienia i nowy zwrot, któryby zadowolił Koło Polskie, bo każdy wie i rozumie, że ostatecznie jakimś takim układem sprawa musi się skończyć. Jeżeli zatem narazie układów nie próbowano, to oczywiście dlatego, że sądzono, iż przedtem nastąpić musi dymisya rządu i zmiany w jego składzie. Szczególnie jeżeli nie jedna tylko strona, ale obie, jak wolno przypuszczać, były tego zdania.

Koło Polskie nie mogło przymykać oczu na to, że dalsza obecność w rządzie dwu jego członków i niejako przedstawicieli, z których jeden był głównym sprawcą zamachu na kanały a drugi niedostatecznie ich bronił, musiałaby w każdym razie niezmiernie niekorzystnie i osłabiająco wpływać na przebieg układów i na przeprowadzenie w rządzie żądań Koła Polskiego. Z jakąż bowiem siłą przekonania i z jaką poprostu powagą mieliby stanowiska Koła Polskiego bronić w rządzie dwaj ministrowie polscy, którzy w sprawie tej już ustąpili? Czy inni ministrowie do tych nowych ich wystąpień odnosiliby się z należnym szacunkiem? Krótko mówiąc, w samej już tylko sprawie kanałowej takisam skład rządu i z tymi samymi ministrami polskimi był dla Koła Polskiego obciążeniem wręcz nieznośnem. Ale, prawdę mówiąc, kanały były tylko ostatniem uderzeniem, które nadobre już rozbiło stosunki między Kołem Polskiem a ministrami polskimi, oddawna zepsute. Dotyczy to przedewszystkiem b. ministra Bilińskiego. Jakiekolwiek uznanie ma się dla jego pracy długoletniej, trudno nie

przyznać, że ostatni jego pobyt w ministerstwie okazał się wręcz szkodliwym dla naszej polityki narodowej, niepojęcie szkodliwym. Projekty sanacyi finansów krajowych przedstawione przez p. Bilińskiego w r. 1909 i 1910 wywołały poprostu zdumienie, a szczerzej mówiąc oburzenie: było tam narzucenie nowego ciała rządowego do kontroli skarbowości autonomicznej, była ucieczka przed gniewem czesko-niemieckim z powodu opodatkowania piwa i zwalenie ciężarów na wódkę galicyjską, nie mówiąc już o tem, że wogóle projekty te żadnych większych praw skarbowych ani dochodów krajowi nie dawały i okazały się najpospolitszą łataniną. Gorzej jeszcze poczynał sobie p. Biliński w wewnętrznych stosunkach Koła Polskiego, gdzie po krótkim okresie śmiałego oporu przeciw polityce wymuszania p. Stapińskiego, nastąpiła osławiona zgoda brzęcząca, poczem p. Biliński używał zastępu p. Stapińskiego ku jawnemu rozbijaniu jedności Koła, wystawiając je wręcz na pośmiewisko rządu i parlamentu. A kto wie, czy nie najgorzej zaznaczył się wpływ p. Bilińskiego w sprawie ruskiej, bo polityka ułaskawiań i przymykań oczu na gwałty po zamordowaniu ś. p. Andrzeja Potockiego miała w p. Bilińskim gorącego orędownika, a i potem aż do ostatnich czasów okazywał p. Biliński wielką skłonność do załatwiania spraw ruskich na własną rękę. Jednem słowem, usunięcie p. Bilińskiego było konieczne. Co do b. ministra p. Dulęby, który starał się zawsze o poprawne stosunki z Kołem Polskiem i składał dowody dobrej woli, okazało się jednak, że miał on na swem stanowisku za mało zrozumienia ważności spraw, za mało stanowczości i tężyzny, by przeciwdziałać krokom niebezpiecznym dla naszego kraju. W tych warunkach, Koło Polskie, stanąwszy wobec zatargu kanałowego, musiało oczywiście dojść do przekonania, że zmiana ministrów polskich jest nieodzowna.

Rząd zaś miał swoje znowuż powody, dla których uznał za stosowne przedłożyć cesarzowi dymisyę całego gabinetu. Przedewszystkiem, nawet rozumiejąc najdokładniej, że ze względu na Koło Polskie dalsze zatrzymanie tych samych ministrów polskich jest niemożliwe, rząd nie mógł jednak poprostu pozbyć się ich w krótkiej drodze. Wiadomo bowiem, że mianowanie i usuwanie ministrów należy do cesarza i nie dzieje się tak nigdy, aby po prostem wskazaniu przez jakąś grupę parlamentarną na tego lub owego ministra, został on usunięty. Takiego zwyczaju korona oczywiście nie chce wprowadzić w użycie i dlatego np. najzupełniej bezowocnie domagali się Czesi ustąpienia ministra Hohenburgera. Nadto zaś, sprawy Koła Polskiego nie były jedyną troską gabinetu. Także ze względu na stosunki czesko-niemieckie zmiany w rządzie były pożądane. Wobec tego wybrano dymisyę całego gabinetu.

Tak, zdaje się, przedstawia się sprawa obecnego przesilenia, gdy patrzeć na nią spokojnie i bezstronnie.

Padały jednak w stronę Koła Polskiego słowa jakby przygany i wyrzutu. Więc n. p. *Czas* (12. i 13. grudnia) złowróżbnie pisał, że polityka kanałowa Koła „może zaciężyć na wszystkich innych interesach polskich w Austryi", rzucając wielkie słowa o „narażaniu na szwank innych pierwszorzędnych, nie chwilowo lecz stale i to na długie czasy pierwszorzędnych, interesów naszych narodowych". A po dymisyi gabinetu *Czas* wręcz oświadczył, że „to jest właśnie najsmutniejsze iż akcyi kanałowej w Kole nie prowadzili ci, którzy za politykę Koła są odpowiedzialni" i nie wahał się wydać surowego wyroku: „Akcya ta była partyzantką w najgorszem słowa znaczeniu, w której fantazya, temperament i lubowanie się w opozycyjnym frazesie nadawały kierunek większości Koła". Dodawał jeszcze *Czas* czarnych barw do obrazu, narzekając na „zmianę w stosunku Koła Polskiego do innych stronnictw" i zaznaczając że „idzie tu w pierwszej linii o stronnictwa niemieckie a zwłaszcza o chrześcijańsko-społeczne". Z jeszcze większą swobodą pisano z tej samej strony w warszawskiem *Słowie* (16. grudnia), że w polityce kanałowej Koła Polskiego przejawił się poprostu „naiwny radykalizm". Jednem słowem, straszono kraj, że Koło Polskie lekkomyślnie obaliło cały gabinet, że pozbawiło się sprzymierzeńców w parlamencie, że polityka jego była partyzantką jakichś kilku zapalonych warchołów. Nie był to sąd spokojny ani sprawiedliwy. Bo łatwo jest twierdzić, że Koło Polskie lekkomyślną polityką obaliło gabinet, ale wiadomo, że Koło nie mogło w sprawie kanałowej postąpić inaczej ani oględniej, a także wiadomo, że ta dymisya całego gabinetu nie przedstawia się tak strasznie i wcale nie widać aby zepsuła ona stosunki Koła nie tylko z dworem ale nawet z prezydentem ustępującego gabinetu. Taksamo okazało się na zebraniach, na których posłowie polscy schodzili się z posłami innych grup, że właśnie dopiero po dymisyi gabinetu stronnictwo chrześcijańsko-społeczne i inne zaczęły uznawać słuszność stanowiska Koła Polskiego i że stanowcza polityka raczej dodatnio niż ujemnie wpłynęła na stosunek Koła do innych grup. Wreszcie oskarżenie o partyzantkę, skierowane oczywiście przeciw posłom Kozłowskiemu, Starzyńskiemu a może i Korytowskiemu, którzy w ostatnich wypadkach byli najbardziej czynni, jest zdumiewające, jeżeli się zważy, że szli oni w zgodzie z prezydyum Koła i najzupełniej w duchu jego uchwał, szczególnie gdy się pamięta jak miękki był *Czas* wobec prawdziwej partyzantki p. Stapińskiego w czasach jego czułości z unią słowiańską, prowadzonej najzupełniej wbrew polityce Koła. Niepodobna zatem nie stwierdzić, że spokój i bezstronność sądu zamącone zostały w *Czasie* nadmierną pobłażliwością dla własnych przyjaciół politycznych, t. j. p. Bilińskiego i jedynego jego wiernego ale nie bezinteresownego obrońcy, p. Stapińskiego, a pewną niechęcią do głównych kierowników polityki Koła w sprawie kanałów i jakby obawą przed wzrostem ich wpływów. Ten nastrój spowodował stanowisko, które naprawdę wyglądało na rzucanie Kołu kamieni pod nogi.

Z drugiej strony, nie bez pewnego zdziwienia słyszało się radosne i tryumfalne okrzyki w obozie demokratyczno - narodowym. Kiedy korespondent wiedeński *Słowa Polskiego* rozsyłał na całą Polskę pełne zadowolenia wiadomości p. t. „Dr. Biliński i dr. Dulęba przed sądem

polskiej opinii publicznej", kiedy posłowie demokratyczno - narodowi na zgromadzeniach w tym samym duchu przemawiali, musiał się ten i ów zapytać, kto właściwie sprawił, że pp. Biliński i Dulęba zostali naszymi przedstawicielami w rządzie. I oto przychodzą na myśl wspomnienia z przed dwu lat, z końca r. 1908 i początku r. 1909, kiedy upadał gabinet br. Becka a tworzył się gabinet br. Bienertha i kiedy stronnictwo demokratyczno-narodowe w *Słowie Polskiem* i na zgromadzeniach zwalczało b. ministra skarbu p. Korytowskiego równie namiętnie jak teraz p. Bilińskiego, a całą siłą popierało i jak opatrznościowego męża przedstawiało właśnie p. Bilińskiego. A taksamo przypominają się pamiętne chwile z początku r. 1909, kiedy to stronnictwo demokratyczno-narodowe, związane zobowiązaniami przyjętemi w chwili zawarcia unii demokratycznej, przyczyniło się do wyparcia najlepszego ministra galicyjskiego p. Abrahamowicza, aby zrobić miejsce dla nieudolnego p. Dulęby. Łatwo dzisiaj pisać, że „dr. Biliński i dr. Dulęba w galeryi ministrów polskich zajmą miejsce, nad którem nie będzie wisiał wieniec zasługi obywatelskiej". Ale nie trzeba, by zbyt śmiało wieńczyli się twórcy unii demokratycznej i polityki wymiany mózgów, ci awanturnicy polityczni rzucający się na oślep z kombinacyi w kombinacyę, którzy właśnie wprowadzili pp. Bilińskiego i Dulębę na stanowiska w gabinecie, bo i nad ich własną polityką nieprzewidującą, dorywczą, zachłanną i nieudolną także i tembardziej nie będzie wisiał wieniec zasługi obywatelskiej.

Dzisiaj znowu czekają nas na polskich stanowiskach w Wiedniu zmiany, które obejmą jedną tekę gospodarczą w gabinecie, ministerstwo Galicyi, oraz zapewne prezesurę Koła Polskiego. Są to sprawy pierwszorzędnej wagi i oczywiście niepodobna trzymać ich pod korcem, tembardziej, że dotyczą one nie tylko naszej polityki w Wiedniu, ale także w bardzo ścisłym związku pozostają z polityką naszą w kraju.

Co do polityki wiedeńskiej, to słusznie powiedziano niedawno w Kole Polskiem, że najkosztowniejszą jest taka polityka, która oddaje kierujące stanowiska w ręce nieodpowiednie i nieudolne, bo wtedy płaci się i traci się na każdym kroku. I to podnieść trzeba z całą stanowczością, że żadne klucze, ale wyłącznie wzgląd na uzdolnienie powinien rozstrzygać, jeśli nie chcemy dalej zabagniać naszej polityki wiedeńskiej i tracić tam na znaczeniu i powadze. Najpoważniejsze nazwiska w obecnej chwili są te, które pierwsze wymieniono: pos. Głąbiński, który najkorzystniej dla nas mógłby objąć tekę gospodarczą; pos. Kozłowski, którego ogromna wiedza polityczna, niezwykła pracowitość, wybitne zdolności i wielki mir wśród wszystkich naszych stronnictw pozwalają wróżyć, że kraj miałby w nim nie tylko na stanowisku prezesa Koła, ale i na stanowisku ministra Galicyi obrońcę znakomitego; zaś na stanowisko prezesa Koła Polskiego pos. Starzyński, jeden z najstarszych i najznakomitszych naszych parlamentarzystów odznaczający się ogromnem doświadczeniem, wielką wiedzą i znaną bezstronnością, a obok niego wymieniono pos. Korytowskiego, polityka również bardzo wybitnego, acz zasiadającego w Kole Polskiem dopiero po raz pierwszy. Tylko te nazwiska (a obok nich jeszcze kilka innych, także poważnych, jak pp. Górskiego, Jaworskiego, Kędziora, Zaleskiego, ale rzuconych raczej na domysł i na razie zdaje się nie wchodzących w rachubę) wymieniono ze względów rzeczowych, z myślą o uzdolnieniu. Jeżeli ze strony stronnictwa ludowego i stronnictwa demokratycznego odezwały się żądania, aby i ich członkowie zajęli jedno z tych stanowisk, to były to właśnie żądania w imię interesów partyjnych a nie ogólnych, domagające się aby ten lub ów został ministrem dlatego, że jest ludowcem lub demokratą, a nie dlatego, że jest najbardziej uzdolniony do tego stanowiska. Zmiany odbywają się nie po raz ostatni i może w innej chwili najodpowiedniejszymi kandydatami będą członkowie stronnictwa ludowego lub demokratycznego, ale dzisiaj tak nie jest.

Ani trochę mniej ważny jest wzgląd na korzystne ułożenie się naszej polityki w kraju. Jeżeli obecna polityka rządu krajowego zarówno w sprawie ruskiej jak w stosunkach między stronnictwami budzi niepokój, to nie ulega wątpliwości, że właśnie współdziałanie pp. Głąbińskiego, Kozłowskiego i Starzyńskiego na stanowiskach w Wiedniu z p. Bobrzyńskim na stanowisku namiestnika, mogłoby się bardzo przyczynić do zmniejszenia lub usunięcia tego niepokoju. Przeciwnie zaś, gdyby się okazało, że istnieje chęć zwalczania takiego współdziałania i chęć wzmocnienia lub utrwalenia także na naszych stanowiskach wiedeńskich tego wyłącznie kierunku politycznego, który przedstawia p. Namiestnik, bez nadziei jakiejś równowagi, wtedy obecny niepokój musiałby się zamienić w jawną niechęć i otwartą walkę. Z tego względu sprawa zmian w Wiedniu jest bardzo ważna dla biegu spraw politycznych i ruchu politycznego w kraju i dlatego wszyscy którzy pragną zgody i porozumienia, wszyscy którym leży na sercu wyzyskanie dla pracy narodowej wszelkich najuczciwszych sił i najtęższych głów jakie dzisiaj mamy, wszyscy którzy czują, że wzajemne zwalczanie się przodujących polityków osłabia nas w trudnych warunkach dzisiejszych, powinni do sprawy obecnych zmian w Wiedniu przystępować z pełną dobrą wolą, z głęboką rozwagą i z poczuciem, że chwila jest ważna nie tylko ze względu na najodpowiedniejszą obsadę stanowisk wiedeńskich, ale także ze względu na najpomyślniejszy układ stosunków politycznych w kraju.

Que sont ils donc ces „Ruthènes" ?

(Dokończenie — zob. str. 245).

Nadszedł rok 1848 a z nim trudne położenie ówczesnego rządu austryackiego. W myśl zasady *divide et impera* udało się już było temu rządowi w roku 1846 rzucić mazurskich chłopów na spiskującą inteligencyę i szlachtę, spróbował teraz gubernator hr. Stadion rozniecić sprawę ruską, już jako narodowościową,

zużytkowując przy tem bardzo zręcznie różnicę obrządku i kalendarza, a przedewszystkiem podniecając zawiść społeczną: znanem hasłem agitacyjnem stały się wtedy obietnice podziału między chłopów pastwisk i lasów dworskich. Uwłaszczenie włościan, które szlachta już pierwej sama była postanowiła, przedstawił rząd jako dar cesarski, indemnizacyą za odrabiane czynsze obciążył cały kraj, a sprawy serwitutowe urządził tak, żeby w jaknajdłuższe lata były kością niezgody między dworem a chatą.

Jak słabą i tylko sztucznie podniecaną była owa idea narodowości ruskiej, najlepszy dowód w tem, że w poczucie ludu ona nie wnikała, a przedstawiciele jej, to jest księża obrządku greckiego i inteligencya, wtedy mniej liczna niż dziś, szukali oparcia w Rosyi, utożsamiając się z narodowością rosyjską. Była to era Kuziemskich, Naumowiczów, Olgi Hrabarowej i tylu innych, którzy się później o Petersburg oparli. Usiłowali oni mówić i pisać po rosyjsku, a nawet i spiskowali na rzecz Rosyi, ale lud wschodnio-galicyjski ani ich mowy nie rozumiał ani też wspólnie z nimi nie spiskował.

Dziś dostarcza część stronnictwa staroruskiego rządowi rosyjskiemu w obfitości szpiegów, którzy za miły grosz donoszą mu o stosunkach tutejszych, a głównie o sprawach wojskowych.

Już to śmiało można powiedzieć, że udało się rządowi austryackiemu jego dzieło z roku 1848 tak jak Faustowi zrobienie alchemiczną sztuką człowieka z pominięciem naturalnych praw rozwoju. Ze słoja z chemikaliami wylazł po wielu mozolnych przygotowaniach nie człowiek ale człowieczek *homunculus*, mały brzydki i zły, który od razu zwrócił się zjadliwie przeciw swemu twórcy.

Otóż podobnie koszlawe, małe i złe jak *homunculus*, było także dzieło biurokracyi wiedeńskiej, ów nowo utworzony naród wschodnio- galicyjski, agitacyą bowiem i rozpętaniem najniższych i najgorszych instynktów drzemiących na dnie duszy ludzkiej, można wprawdzie wytworzyć bardzo nawet ruchliwe i szkodliwe stronnictwo polityczne, ale z samej tylko ślepej nienawiści, zazdrości i chęci szkodzenia i burzenia nie stworzy się narodu; na to potrzeba wiekowej tradycyi, oddania się jakiejś idei, gotowości do poświęceń czyli krótko mówiąc patryotyzmu, uczucia które nas Polaków datąd ratuje od ostatecznej zagłady, pomimo wprost strasznych warunków politycznych i ekonomicznych.

Toteż ostatecznie niezadowolony był rząd wiedeński ze swoich ruskich homunculusów, były nawet chwile, w których żałował swego dzieła. Rządzące u nas stronnictwo znalazło na to radę, idzie ono bowiem zawsze na rękę Wiedniowi, mimo to jednak uważa ono swój patryotyzm jako szczerze polski chociaż jest on właściwie szczerze galicyjskim. Otóż ci nasi statyści powiedzieli sobie, że potrzeba Austryi innych Rusinów, takich, którychby można przeciwstawić zbyt jawnie ku Rosyi grawitującym moskalofilom, czyli jak ich także zwano świętojurcom. Stworzyli więc nowych Rusinów razem z pisownią fonetyczną, wprowadzoną do szkół i urzędów, zamiast dotychczasowej etymologicznej, używanej dotąd w Rosyi. Powiedzieli tym neo-Rusinom: bądźcie prawdziwymi austryackimi Rusinami, a wtedy będziemy was protegować, sami będziemy się starać o mandaty poselskie dla was, o posady po szkołach i urzędach, o wpływy w rządzie autonomicznym, o wyższe godności w Wiedniu i t. d. Ale i tym nowym Rusinom musiał się wydać ten ich drugi wschodnio-galicyjski naród tem słabszym i śmiesznie małym, ponieważ obok niego nie rezygnował z bytu naród, z daty roku 1848, zwący się już teraz staroruskim. Sięgnęli więc noworusini, po siły żywotne i tradycye znowu za kordon, ale tym razem ograniczyli swoje aspiracye i tradycye już tylko do południowej Rosyi i nazwali się ukraińcami.

W południowej Rosyi jednak szerzył się wprawdzie socyalizm, a nawet anarchizm, ale nie jakaś idea ściśle narodowościowa. Prawiono tam ludowi o zdzierstwach, kradzieżach i nadużyciach czynowników, wskazywano na opilstwo i chciwość prawosławnych popów, utworzono Sztundę, obchodzącą się bez duchowieństwa, rodzaj protestantyzmu w łonie prawosławia, przypominano może i wolności kozackie, najmniej jednak w tych wszystkich agitacyach było idei narodowościowej, a najwięcej dążności radykalistycznych i przewrotowych. Przewódcom tego ruchu były pisemka i teatrzyki ludowe tylko środkiem zbliżenia się do ludu, który przed laty czterdziestu i trzydziestu, jeszcze mniej rozumiał po rosyjsku niż dziś. Sami zaś agitatorowie i przewódcy ruchu używali między sobą języka rosyjskiego.

Opowiadano mi fakt bardzo cechujący te stosunki: oto aktorowie którzy przedstawiali na scenie jakąś sztuczkę ludową w narzeczu małoruskiem, zaraz po przedstawieniu zeszedłszy się na kolacyę, już mówili między sobą po rosyjsku.

Toteż w rosyjskiej Dumie niema ani śladu odrębności ruskiej w rodzaju stronnictwa ukraińskiego, jakkolwiek przecież za kordonem jest Rusinów daleko więcej niż w Galicyi. Nasi ukraińcy sami ciągle powtarzają, że są tylko drobną cząstką wielkiego ukraińskiego narodu (nazwę tę przyjęli dopiero przed 20 laty).

Nie tylko opinię polską, ale wogóle europejską, starają się obałamucić galicyjscy ukraińcy bajecznemi opowiadaniami i *ad hoc* wydawanemi mapkami i obliczeniami, wykazującemi, że ich jest trzydzieści milionów. I nie tylko Europa — mało zresztą tymi stosunkami się zajmująca — ale nawet i społeczeństwo polskie niedostatecznie obznajomione z etnografią szczepów słowiańskich wierzy na słowo naszym ukraińcom. Do swojej narodowości zaliczają oni całą Białą Ruś, to znaczy okolice Mińska, Witebska, Smoleńska, Pińszczyznę, to jest błota Poleskie w dorzeczu Prypeci, czyli tak zwaną Czarną Ruś, południową część Zadnieprza, gdzieś aż poza Don, po dolny bieg Wołgi i po Kaukaz, dalej cały szmat ziemi nad Czarnem Morzem od dolnego Dniepru do dolnego Dniestru, sięgający na północ po Siniuchę wpadającą do Bohu, Bessarabię z częścią Bukowiny, Ruś Czerwoną, to jest

mniej więcej całą wschodnią Galicyę, prócz tego sięgają jeszcze swojemi pretensyami poza Karpaty do północnych Węgier a także i do zachodniej Galicyi wzdłuż Karpat aż gdzieś po Sącz i Krynicę.

Kijów miałby być stolicą tak zakreślonego ukraińskiego państwa, a raczej ukraińskiego narodu, bo ideę państwowości, religii, własności i rodziny, wyklucza stanowczo radykalizm ukraiński, zgodny w tej mierze z anarchizmem i nihilizmem rosyjskim.

Tak przedstawiony ogrom ukraińskiego narodu przeraża naszych łatwowiernych polityków, bo rzeczywiście na tym obszarze mieszka około 30 milionów ludności, i to pomimo dość rzadkiego zaludnienia Pińszczyzny i brzegów morza Czarnego i Azowskiego.

Przypatrzmy się jednak bliżej ludności zamieszkującej te obszary, a przekonamy się, że stanowi ona mozaikę etnograficzną, bardzo różnorodną pod względem pochodzenia, usposobienia, tradycyi historycznych i narzecza, którem przemawia.

Zacznijmy od Białej Rusi. Utrzymują etnografowie, że tam właśnie uchronił się od obcych przymieszek i najczyściej się utrzymywał pierwotny typ słowiański.

Białorusin bywa zwykle wzrostu średniego, blondyn o mniej lub więcej jasnych oczach, niebieskich lub siwych, z nosem prostym lub z lekka zadartym, lecz występujących kości policzkowych, lud to przedewszystkiem spokojny i cichy.

Kiedy Chmielnicki rozsyłał swoich emisaryuszy po całej Polsce, w celu podburzania włościan i kiedy zdołał poruszyć górali tatrzańskich pod przewództwem Kostki Napierskiego, Biała Ruś i Pińszczyzna zachowały się spokojnie. Wielu tam jeszcze katolików na Białej Rusi, a nawet wśród nawróconych przemocą na prawosławie, zachowało się wiele sympatyi, wspomnień i tradycyi katolickich.

Rzecz nie do uwierzenia, jak dotąd jeszcze wśród tej ludności prawosławnej utrzymują się pieśni kościelne śpiewane po polsku, oczywiście nie w cerkwiach wobec popów prawosławnych, ale w polu przy robocie lub w chatach po wieczornicach. Narzecze, którem ten lud przemawia jest bardzo ciekawe pod względem lingwistycznym jako pośrednie pomiędzy językiem polskim a rosyjskim. Samogłoski nosowe i spółgłoski zbliżają je bardzo do języka polskiego, zaś niektóre formy i inne samogłoski, mianowicie samogłoska „a“ występująca bardzo często tam gdzie w języku polskim jest „o“, przypominają język rosyjski. Ta przejściowość narzecza odpowiada zresztą geograficznemu położeniu Białej Rusi pomiędzy Polską a właściwą Rosyą. Książki dla tego ludu drukuje się w jego narzeczu i to dla katolików czcionkami łacińskiemi dla prawosławnych zaś słowiańskiemi. Mówiono mi o istnieniu ludowej gazetki białoruskiej o dwóch identycznych tekstach ale drukowanych na tych samych stronicach alfabetem łacińskim i słowiańskim. Do jakiejkolwiek łączności z południową Rusią nie poczuwał się nigdy lud białoruski i nie poczuwa się obecnie, a jest go około dziesięciu milionów.

Rusią, używającą narzecza, które galicyjskie stronnictwo ukraińskie nazywa narzeczem ukraińskiem, jest Ruś Czerwona, t. j. wschodnia Galicya, Wołyń, Podole i Ukraina na północ od Siniuchy a na zachód od Dniepru. Granica między tem narzeczem a białoruskiem zaciera się w błotach Pińszczyzny, czyli Czarnej Rusi, północna jej część mówi narzeczem zbliżonem do białoruskiego, południowa narzeczem zbliżonem do tak zwanego ukraińskiego.

Typ ludności południowo-ruskiej różni się zupełnie od typu białoruskiego. Południowi Rusini mają włos zwykle czarny lub ciemny, taksamo oczy czarne lub piwne, zdarzają się u nich często wystające kości policzkowe, nosy zadarte widuje się u ludu południowo-ruskiego najczęściej.

Na wschód od Dniepru już zmienia się narzecze tego ludu, im dalej tem bardziej przesiąknięte jest ono słowami i zwrotami rosyjskimi i to tak znacznie, że książeczki drukowane w Galicyi „po ukraińsku“ lud za Dnieprem już mało rozumie i niechętnie je czyta, przyznają to sami tutejsi agitatorowie.

Zupełnie już nie są ruskie północne brzegi Czarnego morza, mianowicie część ich między Dnieprem, Siniuchą i Bohem, dawne „Dzikie pola“, bo te były za czasów Rzeczypospolitej nie zajęte osiadłą ludnością, pasały się na nich stada koni a walczyli o pastwiska na tych stepach Kozacy z Tatarami. Dopiero po zdobyciu Siczy i rozpędzeniu Kozaków zaczęła te pustkowia kolonizować Katarzyna II. Ściągano wtedy ludność z różnych stron obszaru cesarstwa rosyjskiego, osadzano więc tam nie tylko rdzennych Moskali ze środkowych guberni, ale także Czuchońców z północy, Mordwinów z pod Uralu, Kirgizów z nad morza Kaspijskiego, Czerkiesów z Kaukazu, Krymskich Tatarów, z zachodu Wołochów, Bułgarów i Serbów, żydów i cyganów z całego świata, a także i Rusinów z Ukrainy, Wołynia i Podola, później już sprowadzano Mazurów, Czechów i Niemców. Wskutek tego chociaż tam może i więcej napłynęło Rusinów niż każdego innego szczepu z osobna wziętego, w sumie jednak stanowią oni drobną mniejszość w tej pstrej mieszaninie różnych plemion. Język rosyjski zaczął bardzo prędko górować wśród takiej gmatwaniny narzeczy, bo pop, czynownik i żandarm, a gdzie była szkoła tam i nauczyciele, mówili po rosyjsku, w tym więc języku najłatwiej było wszystkim porozumiewać się, bo tylko ten jeden język wystarczało każdemu umieć, aby go inni zrozumieli.

Na Bessarabii t. j. między Prutem a Dniestrem, przeważa ludność rumuńska, sięgająca miejscami nawet poza Dniestr, Rusinów jest jeszcze najwięcej tylko w północnej cząstce tego kraju.

Mieszka ich także, podobno około ćwierć miliona, na stokach Karpat od strony Węgier, mówią narzeczem odmiennem nie tylko od ukraińskiego, ale już trochę nawet od galicyjskiego. Duchowieństwo ich używa w domach swoich przeważnie języka węgierskiego i wogóle za Karpatami nic się nie słyszy o aspiracyach ukraińskich. Ludność obrządku greckiego zamieszkująca Karpaty zachodnio-galicyjskie jest pod wieloma względami już więcej zbliżona do

Słowaków niż do Rusinów, mianowicie im dalej się posuniemy na zachód. W wielu znów innych wsiach przypomina raczej Mazurów, mówi już nawet akcentem mazurskim, często ruskiego narzecza wcale nie zna, tak, że księża obrządku greckiego muszą przemawiać po polsku z kazalnicy, gdyż owieczki ich nic nie wiedzą o swojej rzekomej ruszczyźnie.

A teraz zaglądnijmy do Kijowa, tej *in spe* stolicy przyszłego ukraińskiego państwa?

Będąc przed laty trzydziestu w Kijowie zdumiony byłem zupełnem zmoskwiczeniem tego miasta, nawet lud na targu mówił po rosyjsku, a jak niedawno słyszałem i teraz te stosunki się nie zmieniły. Może to się wyda paradoksalnem, co teraz powiem, ale mimo to utrzymuję, że tak jest: oto Kijów jest bardziej rosyjski niż Wiedeń niemiecki, bo w Wiedniu na targowicy żywności (Naschmarkt) słyszy się wśród przekupek co najmniej tyle mowy słowiańskiej ile niemieckiej. Przyczyna tego na pozór dziwnego zjawiska bardzo prosta: oto kłam zadając mapom etnograficznym niemieckim, dochodzą osady czeskie od północy, słoweńskie zaś od południa, prawie po same rogatki Wiednia, a pracowita i przemyślna ludność tych osad znosi owoce i warzywa na targowicę, konkurując skutecznie z ludnością niemiecką. Prócz tego mieszka w Wiedniu prawdopodobnie około dwustu pięćdziesięciu tysięcy Czechów, którą to ilość przy wszystkich spisach magistrat wiedeński usiłuje zmniejszyć, wskutek czego prawdziwej liczby nie znamy. W Kijowie zaś, jak wspomniałem, nawet na targowicy nie słyszy się języka ruskiego, bo przecież Kijów z okolicą jest już od pół trzecia wieku prawie w posiadaniu rosyjskiem (od traktatu Andruszowskiego t. j. od roku 1667). Ani śladu więc Rusinów w Kijowie tej rzekomej stolicy zjednoczonych Ukrain, przeddnieprskiej i zadnieprskiej, natomiast stwierdzić należy, że w tem mieście — powtarzam raz jeszcze — bardziej rosyjskiem, niż Wiedeń jest niemiecki, mieszka wielu Polaków, mianowicie ludzi pracujących umysłowo. Mamy tam, oprócz pewnej części młodzieży uniwersyteckiej, adwokatów, lekarzy, aptekarzy, techników, przemysłowców, a także i kupców, rzemieślników, kelnerów, wskutek czego w każdym prawie sklepie i hotelu można się rozmówić po polsku. Może wolałbym, żeby było inaczej, ale jest tak jak to przedstawiam. Jeszcze więcej słychać w Kijowie języka polskiego — ale nie ruskiego — w czasie kontraktów, a to z powodu, że wtedy zjeżdża się tam wielu właścicieli dóbr i cukrowni (tymi są po części Polacy, po części Rosyanie lub Francuzi), dzierżawców i oficyalistów prywatnych (tymi są prawie wyłącznie Polacy). Wspomnę tu chyba jeszcze, że utrzymują przewódcy ruchu ukraińskiego nie tylko legendę o trzydziestu milionach Rusinów mówiących po ukraińsku, ale także o jakichś Kozakach używających tego samego narzecza i — co najważniejsza — nienawidzących Rosyi. Otóż będąc na Wołyniu, Podolu i Ukrainie, z szczerą sympatyą szukałem takich Kozaków, próbowałem mówić z Kozakami należącymi do różnych półków, każdy mówił tylko po rosyjsku, żaden po rusku — o takich zaś po rusku mówiących Kozakach nawet słychu nie było. I w tym wypadku może wolałbym, żeby było inaczej, ale podaję to com widział i o czem słyszałem. Dowiedziałem się natomiast, że kiedy potrzeba było poskramiać anarchistyczne ruchy chłopskie na Ukrainie, używano do tego najchętniej właśnie Kozaków.

Jeżeli więc teraz przeprowadzimy stosownie do powyższych wyjaśnień te wszystkie potrącenia z owych mitycznych trzydziestu milionów, zostanie najwyżej dziesięć do dwunastu milionów ludności, mówiącej mniej więcej takiem narzeczem jak tu we wschodniej Galicyi. Takie obliczenie podaje zbiorowe dzieło pod tytułem: „Polska“. Narzecze to obejmuje, przypominam raz jeszcze, wschodnią Galicyę, czyli Ruś Czerwoną, Wołyń, Podole i Ukrainę po Dniepr i Siniuchę, bez Kijowa. Czarna Ruś czyli Pińszczyzna stanowi, jak już także wspomniałem, przejście od tego narzecza do białoruskiego, bez dającej się ściśle oznaczyć granicy językowej.

Można mimo to jednak na te wywody odpowiedzieć: a więc przypuśćmy, że niema Rusinów trzydzieści milionów ale tylko dziesięć do dwunastu, jeżeli mimo to jednak chcą być narodem, to im nikt prawa do stanowienia o swej narodowości odmówić nie może a już najmniej my Polacy, którzy się ciągle o nasze prawa narodowe upominamy. Tak jest niewątpliwie, z rozumowaniem tem zgodzić się należy, ale o to właśnie chodzi, żeby wyjaśnić czego chcą Rusini, czy dążenia ich są jednolite i jak się wobec tych dążeń ogół ludności ruskiej zachowuje.

Oto przedewszystkiem wielka jest różnica między stanem rzeczy w Galicyi a za kordonem.

Ponieważ w Galicyi jest stosownie do powyższego sposobu obliczania około trzech milionów, zaś za kordonem ośm do dziewięciu milionów ludności ruskiej, mówimy więc najpierw o stosunkach tego większego odłamu.

Wybitną cechą ruskiej ludności zakordonowej jest najzupełniejsza obojętność, a nawet co więcej, zupełny brak uświadomienia w tej mierze pod względem narodowościowym. I skądże to uświadomienie przyjśćby miało? Agitacye przeciwrządowe w Rosyi mają cechę przedewszystkiem socyalistyczną i anarchistyczną, na miejscowe więc narzecze o tyle tylko zwracają uwagę agitatorowie o ile ono jest dla nich środkiem porozumiewania się z ludem. Prawosławny pop na ruszczyznę ani na ukrainizm chłopa nawracać nie będzie, bo sam jest zwykle Moskalem z głębi Rosyi nasłanym albo jeżeli nawet pochodzi z rodziny dawniejszych księży unickich, to jest już nawskroś od jednego lub dwóch pokoleń, zmoskwicony. Poza popem, którego chłop widuje w każdej wsi i codziennie, styka się on — miejscami tylko gdzie jest szkoła — z nauczycielem, także Moskalem, albo — od czasu do czasu z czynownikiem. Agitatorowie galicyjscy niechętnie zapuszczają się za kordon, bo tam za agitacyę ukraińską mogliby się spotkać z więzieniem lub nawet z Sybirem. Wolą oni pozostać na bez porównania wdzięczniejszym domowym terenie galicyjskim gdzie przy bezprzykładnej pobłażliwości i słabości władz miejscowych i sympatyi rządu wiedeńskiego, okazywanej z całym cynizmem, mogą sobie powiedzieć, że tak jak każdy żołnierz no-

si w swym tornistrze laskę marszałkowską, tak każdy z nich nosi w zanadrzu mandat poselski, który go kiedyś może wyciągnie z szarej małości dotychczasowej egzystencyi na szeroką widownię polityczną. Pozostawiony jest więc lud zakordonowy ruski gorzej niż sobie samemu, bo zdany jest pod względem swego przyszłego duchowego dorobku na opiekujących się nim Moskali. Dwór polski zająć się tym ludem nie może, wobec czuwającego w każdej wsi popa i policyi rosyjskiej — to się samo przez się rozumie. Synowie chłopów kończący szkoły należą do wyjątków i ci jako urzędnicy lub popi stają się zawsze Moskalami, jeżeli zaś który z nich zostanie adwokatem, lekarzem lub inżynierem, to albo bywa także Moskalem, albo też jako liberał, zwykle skrajny, głosi wprawdzie indyferentyzm pod względem narodowościowym ale w domu mówi po rosyjsku. Jednego takiego bliżej poznałem. Szkoły ukończył przy pomocy któregoś z tamtejszej szlachty polskiej, był lekarzem, ożenił się z Rosyanką, mówił w domu po rosyjsku, z Polakami po polsku, z ludem po rusku. W zapatrywaniach filozoficzno-politycznych przyznawał się do nihilizmu, ale że był człowiekiem dobrym z natury, nihilizm jego drapieżnej formy nie przybierał. Z żoną wziął ślub w cerkwi, bo sobie tego rodzice żony życzyli, dzieci chrzcić pozwalał, bo sobie tego żona życzyła, zresztą był niezłym lekarzem, ale zupełnie obojętnym na spory narodowościowe. Dlatego tak się o nim rozpisałem, bo ludzie znający tamtejsze stosunki mówili mi, że był on bardzo typowym okazem i że takich tam więcej.

Mimo to jednak pomiędzy młodzieżą uniwersytetu kijowskiego utrzymuje się ruch ultraliberalny, antyrządowy i myśl o możliwości przeciwstawienia rządowi miejscowego ludu, jak się oni wyrażają „małoruskiego“: cóż z tego, kiedy o przyszłości tego ludu małoruskiego radzi ta młodzież w języku wielkoruskim czyli rosyjskim, doczekawszy się zaś posad zapomina o wszystkiem. Trafi się wprawdzie między nimi czasem gorętsza natura. Taki zapragnie marzenia młodości w czyn wprowadzić i w następstwie dostaje się na Sybir, ale to zawsze tylko jako męczennik sprawy wolności w ogóle, nigdy zaś jako obrońca niepodległości Ukrainy, takiego hasła żaden ze spisków rosyjskich na swoim sztandarze dotąd nie wypisał.

Wobec tego śmiało stwierdzić można, że idea niezawisłości jakiegoś ukraińskiego państwa nie ma w Rosyi żadnych widoków powodzenia. Inna zupełnie rzecz w Galicyi.

Nieznający tych stosunków Niemcy wiedeńscy wierzą na słowo galicyjskim agitatorom, że, w razie wojny Austryi z Rosyą, stanie po stronie Austryi jak jeden mąż nie tylko lud ruski w Galicyi ale także i za kordonem. Tą naiwną wiarą w słowa galicyjskich przewódców ukraińskiego ruchu tłómaczy się poparcie jakiego on doznaje w rządzie centralnym i w parlamencie wiedeńskim. Mając zapewnioną bezkarność agitują śmiało nasi domorośli ukraińcy. Najbezczelniej i najniesumienniej obiecują ciemnemu ludowi podział gruntów dworskich, prawią mu o ciągłych krzywdach, które mu rzekomo wyrządzają Lachy, t. j. panowie, nawołują, bez przeszkód ze strony władz, po wiecach, odpustach i jarmarkach, nie tylko do rozmyślnego robienia szkód polowych i lasowych, ale także wprost do rabunku, podpalania i mordu wskazując na bezkarność lub śmiesznie łagodny wymiar kary — morderca namiestnika Potockiego, Siczyński, bywa zwykle najulubieńszym przykładem, na który się się powołują. Ostatecznym i najbardziej przekonywującym argumentem jest usilnie szerzony materyalizm i ateizm, przyjmujący się u ludu bardzo łatwo, bo pamiętajmy o tem, że filozofowanie ludzi powierzchownie świat osądzających bywało zwykle materyalistycznem. Od materyalizmu zaczęli Grecy, materyalizm głosili niesłychanie płytcy, chociaż uniwersalni, Encyklopedyści ośmnastego wieku. Materyaliści Büchner, Moleschott i Haeckel, utożsamiali nauki przyrodnicze z filozofią, a nie wznieśli się nawet do zrozumienia skeptycyzmu Locke'a i Hume'a ani krytycyzmu Kanta, nie zrozumieli zastrzeżeń co do sądów naszych o zewnętrznym świecie, do których zmusza teorya poznania, również byli zupełnie ślepi na trudności w tłómaczeniu ruchem atomów zjawisk psychicznych, którą to trudność uznaje ogólnie, nowsza, na fizyologii oparta, psychologia. Dla bałamuconego ludu i dla pouczających go agitatorów nie istnieje „the unnowable“ Herberta Spencera ani „ignorabimus“ Du Bois Reymonda, dla nich najpłytszy materyalizm rozwiązuje zagadkę wszechbytu i szerzy się w zastraszający sposób między ludem. Spełniło się na duchowieństwie ukraińskiem powiedzenie: „kto wiatr sieje, burzę zbiera“, ta burza zaczyna ich samych zmiatać, przerazili się, ale niestety zapóźno! Ukrainizm łączy się, tu w Galicyi, z radykalizmem i socyalizmem w jedną piękną całość.

Barnum, słynny z powodzenia amerykański przedsiębiorca cyrków i wszelkich niezwykłych widowisk, miał kiedyś powiedzieć: „kto buduje gmach swego powodzenia na głupocie ludzkiej, opiera na niewzruszonych podstawach“. Przypomina mi się tu mimo woli, powiedzenie Machometa podobne co do myśli zasadniczej: „szanujcie głupców, bo liczba ich jest wielka!“ Otóż agitatorowie ukraińscy budują gmach swój na podstawach jeszcze silniejszych niż sama tylko głupota ludzka. Podniecają oni także ludzką chciwość, zazdrość, chęć używania bez pracy, wzbogacenia się bez trudu cudzem mieniem, chęć szkodzenia i dokuczenia wszystkiemu, co choć cokolwiek pod jakimbądź względem ponad poziom tłumu wyrasta, pobudzają okrucieństwo i chęć zemsty za urojone „krzywdy“ wmówione zręcznie w ciemne tłumy, a ludzi skłonnych do ulegania takim podszeptom, znajdzie się niestety więcej niż tych nawet, o których powiedział Mahomet, że ich należy szanować z powodu wielkiej ich liczby. Tem się tłómaczą wpływy na lud agitatorów ukraińskich. Prócz tego tkwi ich siła w tem, w czem tkwiła siła Jakobinów z czasów W. Rewolucyi jak to po mistrzowsku wykazał Taine. Siłą ich było nieprzebieranie w środkach, bezwzględność w zastosowaniu ich w celach agitacyjnych. To samo czynią agitatorowie ukraińscy. W ogólnem użyciu bywa nie tylko dawanie obietnic niemożliwych do spełnienia, szczucie przeciw ludziom posiadającym cokolwiek, ale także nie cofają się oni przed terrorem jak najbezwzględniej zasto-

sowywanym. Opornych biją i zabijają, podpalają chaty i gumna włościan Polaków utrzymujących czytelnie polskie, szerzą kłamliwe i potwarcze wieści (jak teraz o zabiciu ucznia Kochańczyka), to wszystko jest w codziennem użyciu. Wykonali napad na Uniwersytet, a potem bezczelnie twierdzili, że to Polacy zabili Kockę, kiedy ani jeden strzał nie padł z polskiej strony, — uknuli spisek i zamordowali namiestnika Potockiego, a dzięki wpływom Wiednia uzyskali takie prowadzenie śledztwa, że uznano spisek jako nieistniejący, a potem postarali się o ułaskawienie mordercy.

Z tego wszystkiego widzimy, że ukrainizm nie mający żadnych widoków za kordonem, ma najlepsze w Galicyi przynajmniej pod względem poparcia pochodzącego z zewnątrz. Sprzyja ukraińcom nie tylko rząd wiedeński, nie tylko wpływy i zasiłki pruskie, ale i nasza własna, prawdziwie samobójcza polityka. I tak szkół ludowych mają Rusini więcej, niż by wypadało z procentowego stosunku obu ludności, średnich więcej niż tego wymaga frekwencya, polskie bowiem gimnazya są bardziej przepełnione niż ruskie, mnóstwo posad czeka na ruskich nauczycieli szkół ludowych i średnich, a nawet na ruskich profesorów uniwersytetu. Popyt za książkami szkolnemi w nieistniejacym języku naukowym ukraińskim, wobec mnożących się szkół, jest coraz większy. Tworzą więc ten język na poczekaniu improwizowane znakomitości naukowe ukraińskie, wystrzegając się przedewszystkiem kompromitującego podobieństwa z językiem polskim.

Biorą w tym celu słowa starobułgarskie z języka cerkiewnego, te w języku nowoczesnej nauki niewiele pomagają, sięgają więc po czeskie, rosyjskie, albo tłómaczone żywcem z niemieckiego, od biedy służą im także archaiczne polskie wreszcie jakieś dziwolągi umyślnie jakkolwiek ukute, byle niepodobne do dziś używanych polskich. Wynik zaś ten, że dziatwa szkolna tego języka nie rozumie i dopiero uczyć go się musi. Mimo to wymagają p. p. ukraińcy, żeby w urzędach tego języka używano, a ponieważ celem ich jest nie tyle swemu ludowi dobrze robić ale przedewszystkiem szkodzić Polakom i wszelkie zbliżenie i porozumiewanie się utrudniać, więc trzymają się kurczowo odrębnego alfabetu i kalendarza greckiego, pomimo że jedno i drugie jest prawdziwą klęską pod względem dydaktycznym i ekonomicznym.

Prawią nam ukraińcy o nienawiści do Rosyi, mówią ciągle, że nie tylko rząd rosyjski, ale także nacyonaliści rosyjscy są ich najcięższymi wrogami, a przecież nie chcą zamanifestować zerwania z Rosyą przyjęciem alfabetu i kalendarza łacińskiego, bo doskonale wiedzą, że zmniejszyłoby to sztucznie podtrzymywaną różnicę ludu ruskiego od polskiego. Lud sam różnicy tej do niedawna nie czuł, Polakiem nazywał tego, którego ochrzczono w obrządku łacińskim, Rusinem tego, którego ochrzczono w obrządku greckim. Pogłębia jednak to odczuwanie różnicy ciągła agitacya, opierająca się głównie na szczuciu ludu przeciw klasom posiadającym, inteligentnym a używającym języka polskiego. Jeżelibyśmy mieli oceniać politykę obu ruskich stronnictw ze stanowiska szczerej życzliwości dla ludu ruskiego, to musimy orzec, że niektórzy, radykalni, starorusini prowadzą dalej dzieło Chmielnickiego, t. j. zaprzedają lud ruski w poddaństwo rosyjskie, zaś ukraińcy marnują jego siły w pogoni za mrzonkami nieziszczalnemi, tak pod względem politycznym jak społecznym.

Jak dziwne w tej mierze tworzą fantasmagorye rzekomo rozumni przewódcy ukraińców niechaj posłuży projekt znakomitego w pośród nich profesora historyi, którego nam kierownicy naszej polityki ugodowej z Kijowa sprowadzili. Przybywszy z Ukrainy nie umiał jeszcze mówić po „ukraińsku“ dopiero we Lwowie uczył się tego języka, teraz projektuje on — i gdzieś to nawet drukiem ogłosił — kompletne rozbicie Rosyi. Królestwo Polskie darowuje Prusom, Ukrainę zaś, która sięga u niego od Karpat i Prutu po Kaukaz i morze Kaspijskie, łączy w jedną federacyę ludów (bo państw nie uznaje) z Czarną Rusią, Białą Rusią, Litwą, Żmudzią i krajami Łotyszów i Finów t. j. Inflantami i Estonią. Federacya ta sięgałaby, jak niegdyś Polska, od morza do morza, zaś Rosya wróciłaby znowu do rozmiarów dawnego księstwa Moskiewskiego, bo Sybir ogłosiłby się oczywiście rzeczpospolitą. Takiemi i tym podobnemi mrzonkami karmi się młodzież ruską, która wierząc w nie, a prawdopodobnie tylko udając, że wierzy, śpiewa „szcze ne wmerła Ukraina“ — i z pewnością nie umarła, bo ani jako państwo odrębne, ani jako naród odrębny nigdy nie żyła.

Dodawać nie potrzebuję, że propagowanie tych fantasmagoryi jest bardzo na rękę Prusom, bo choćby nieziszczalne osłabiają one Rosyę — przynajmniej narazie. Polityka starorusinów jest o tyle realniejszą, że opierają się o cały ogrom Rosyi, o tyle spokojniejszą, że uznając państwowość rosyjską także i tu w Galicyi nie szerzą radykalizmu i anarchizmu. Muszą natomiast niektórzy z nich uprawiać iście bizantyńską dwulicowość. Wobec Wiednia mówią tylko o kulturalnej jedności z Rosyą, upewniając zresztą o swej lojalności wobec dynastyi i nazywają się z dumą: *Die Tyroler des Ostens*, w Petersburgu zaś, radykalni moskalofile obiecują iść w awangardzie razem z Kozakami na Austryę. Tu zauważyć muszę, że rząd rosyjski nie wierzy tak naiwnie starorusinom jak Niemcom, korzysta jednak z usług tego stronnictwa i dobrze za nie płaci, podobnie jak rząd pruski zasila agitacyę ukraińców. Dla nas Polaków widok tej walki obu ruskich stronnictw robi tragikomiczne wrażenie walki rubli z markami!

Byłbym jednak politycznym ślepcem, a prócz tego niesprawiedliwym gdybym poza tą całkiem realną walką rubli z markami, nie chciał uznać równie realnego faktu, że już są w obu stronnictwach ludzie wierzący w swoje ideały, ludzie nawet ofiarni i przywiązani do ludu, dla którego pracują, jakkolwiek w kierunkach bardzo różnych, zależnie od tego czy są moskalofilami czy też ukraińcami. Ci ludzie idei, ci fanatycy są to niestety *rari nantes in gurgite vasto*, ludem zaś miotają w przeciwne strony i na barkach jego wypływają przeważnie niesumienni agitatorowie o jakich już wspomniałem. Ci wichrzą w sejmie, wichrzą w kraju, a co najsmutniejsza wichrzą w du-

szach biednego, ciemnego, a w gruncie rzeczy poczciwego ludu, który nareszcie sam nie wie komu wierzyć i czego się trzymać i wśród tych wątpliwości często wybiera Polaków na posłów do Sejmu lub Rady państwa.

Jakżeż wobec tak nakreślonego obrazu odpowiedzieć Panu na pytanie: *Que sont ils donc ces Ruthènes?* Czy można nazwać narodem tę trzymilionową ludność ruską we wschodniej Galicyi, przetkaną licznemi miastami i osadami polskiemi i polsko-żydowskiemi, a przytem pod względem narodowym u dołu tylko na wpół uświadomioną i ciągle bałamuconą, u góry zaś na dwa stronnictwa rozdartą? Ażeby ten etnograficzny odłam zdobył sobie uznanie jako naród, posiadający historyczne i cywilizacyjne cechy stanowiące o odrębności narodów, musiałby najpierw on sam ostatecznie pogodzić się co do pytania jakim jest narodem, rosyjskim czy ukraińskim, czy też może wogóle ruskim? (nie russkim).

Hasło: *gente Ruthenus natione Polonus* znajduje wprawdzie i dziś jeszcze uznanie, ale już tylko u bardzo niewielu Rusinów, nie obiecuję więc sobie, ażeby wobec rozdarcia Polski, mogło kiedykolwiek zjednać sobie u nich szersze uznanie. Przypuszczam, że walkę między starorusinami a ukraińcami zakończyłby stanowczo dopiero zabór Galicyi przez Rosyę, starorusini zleliby się wtedy z Moskalami, do czego dążą, ukraińcy zaś nie przebyliby jak my Polacy, próby konfiskat, Sybiru i szubienic! Przecież i teraz za kordonem nie narażają się na nią. Akcye ich poszłyby w górę jedynie w razie gdyby Austrya robiła zabory w południowej Rusi.

Ażeby zrozumieć to, co się dzieje u nas w Sejmie i w kraju, musi Pan sobie uprzytomnić zasadnicze nie dające się usunąć sprzeczności między tem co uznają i nakazują ustawy austryackie, a tem co jest rzeczywiście. Z tych sprzeczności wynika mnóstwo fałszywych sytuacyi, konwencyonalnych kłamstw i trudności nie do rozwikłania.

Oto najpierw w myśl zasadniczych ustaw austryackich narodem są Polacy i narodem są Rusini. O czynnikach moralnych, które podnoszą jakiś szczep etnograficzny do godności narodu ustawa ma się rozumieć nie wspomina. Jaki ogrom ofiar złożyliśmy na ołtarzu ojczyzny wiadomo dostatecznie. Kośćmi naszemi wytyczyliśmy szlaki sybirskie, najlepszymi z naszych obywateli zapełnialiśmy kopalnie i więzienia. Ginęliśmy nie tylko na polach bitew, ale także strzelani po rowach fortecznych i wieszani na szubienicach. Niedopuszczają nas do szkół i urzędów, pozbawiają nas wszelkich warunków rozwoju, mimo to już w okresie porozbiorowym najwspanialej rozwinęła się nasza literatura, rozszerzyły się i spotężniały nasze uczucia patryotyczne, ożywiło się pragnienie zjednoczenia i niezależności, dziś odczuwamy nasze upośledzenie wśród narodów bardziej niż w czasie rozbiorów. Co nas kosztuje nasz patryotyzm pod względem ofiar majątkowych, w drobnej części wykazuje książka odnosząca się do pewnego tylko okresu dziejów naszej martyrologii: „Konfiskaty dóbr polskich pod rządami cesarza Mikołaja I“ (wydana w języku francuskim w Brukseli przez Sublinera). Znajdziesz Pan w niej kilkanaście stronic zadrukowanych spisem pokonfiskowanych majątków i nazwiskami rodzin wywiezionych na Sybir. Spytaj Pan, gdzie są męczennicy sprawy ruskiej reklamowanej tak wrzaskliwie na łamach *Neu Freie* i bronionej wichrzeniem w kraju i obstrukcyą w Sejmie. Gdzie jest choćby najmniejszy skrawek ziemi skonfiskowanej Rusinom, natomiast wiemy o korzystnych posadach, które zapewniają obydwa patryotyzmy ruskie moskalofilom w Rosyi zaś ukraińcom w Galicyi i płynących obficie rublach i markach celem ożywienia obu tych patryotyzmów. Wypłacane ruble wylicza ks. Krypiakiewicz, marki, — różne rewelacye. Jeżeli więc my Polacy bronimy naszego stanu posiadania, nie występujemy przeciw jakimś obrażonym uczuciom patryotycznym, na nikogo nie nastajemy, bronimy wyłącznie tylko prawa zachowania naszego języka i naszej rodzimej cywilizacyi, bronimy od wynarodowienia naszych mniejszości narodowych rozsianych wśród ludności ruskiej. Oburza nas natomiast, że my, którzyśmy nigdy nie wątpili o tem, czem jesteśmy i do czego dążymy, zrównani jesteśmy pod względem oceniania naszych uczuć patryotycznych ze sztucznym — a jeszcze sztuczniej rozdwojonym — wytworem, któremu kazano być narodem i zużyto w tym celu wszystko prócz rzeczywistej miłości ojczyzny, a stworzono tylko dwa niezgodne stronnictwa, czerpiące swą racyę bytu w szkodzeniu nam i osłabianiu nas, bo gdyby nie ta potrzeba w Wiedniu i Petersburgu, nie istnieliby ani ukraińcy ani starorusini. O tem wiemy tak dobrze my sami, jak i nasi wrogowie, jak też i narzędzia ich, ale ignorują to obowiązujące w Galicyi ustawy austryackie! Stąd trudności i kolizye.

Mimo to usiłujemy trzymać się w walce o nasz byt narodowy drogi legalnej, bo innej nie mamy i mieć nie chcemy, a to dla tego, żeby nie występować przeciw państwu austryackiemu, które jest dla nas najmniejszem — o wiele najmniejszem — złem, i którego też — jako względnego dobra — gotowi jesteśmy bronić i to szerzej niż „Tyrolczycy Wschodu“. Tej naszej sytuacyi nadużywają Rusini obu stronnictw, ale głównie ukraińcy — z całą bezwzględnością. Im wolno podburzać do gwałtów i mordów, organizować spiski i rzeczywiście burzyć i mordować, im wolno nawet chełpić się z tych czynów, bo rząd krajowy jest słaby i zawsze usłużny wobec rządu centralnego, a temu wystarcza udawanie, że się sprawiedliwość wymierza, a w rzeczywistości stara się on o zapewnienie ukraińcom bezkarności: *Damit die polnischen Bäume nicht zu hoch wachsen!* Wszystko to jest fałszem i komedyą! Rząd wiedeński chce nas osłabić i ubezwładnić.

Przewódcy i agitatorowie obu stronnictw ruskich ciągle prawią o oburzeniu ludu, o doprowadzeniu tego ludu do rozpaczy! Ma się rozumieć że sami w to oburzenie i w tę rozpacz nie wierzą, ale wmawiają w lud urojone krzywdy i żądają, żeby się zachowywał tak jak gdyby był rzeczywiście oburzony! Tak n. p. każą się oburzać analfabetom brakiem uniwersytetu! Do świeżo założonych szkół ruskich spędzają uczniów z dalszych okolic, aby wywołać pozór przepełnienia i niedostateczności tych szkół.

Albo n. p. zbierają do egzaminów wstępnych w gimnazyach, chłopców nieprzygotowanych i nie mających wcale zamiaru dalszego uczęszczania do szkół, na to tylko żeby przy egzaminie spadali i posłużyli do wykazania niesprawiedliwości i stronniczości profesorów polskich, czego dowodem oczywistym ma być tak niezwykle wysoki procent przepadających uczniów ruskich. Profesorowie Polacy starają się o jaknajściślejszą sprawiedliwość wobec uczniów, Rusini najbezwzględniej swoich protegują a Polaków prześladują, w skutek czego ilość uczniów polskich kończących seminarya nauczycielskie ciągle się zmiejsza, ilość zaś Rusinów zwiększa się.

Czczą komedyą bywa niekiedy nauka religii dla młodzieży obrządku grecko-katolickiego, ateizm bowiem trafia się niekiedy między samymi księżmi, a szerzy się ogólnie między młodzieżą mianowicie ukraińską, z której mają wychodzić przyszli nauczyciele ludu. Znane są wypadki wydalenia uczniów za publicznie wypowiadane bluźnierstwa przeciw religii najbardziej cyniczne. Proces taki odbył się w seminaryum nauczycielskiem w Sokalu. Sławne było powiedzenie wspomnianego już księdza Naumowicza, że religia jesj głupstwem jeżeli nie służy do celów politycznych. A sam pamiętam nieżyjącego już dziś dziekana *ritus graeci* i niegdyś posła do Rady państwa, który będąc trochę podniecony winem — powiedział mi ; „ot widzi pan przecież ostatecznie Büchner ma racyę!“ a wiadomo że *in vino veritas!*

Rozsadnikiem takich zasad było założone w Wiedniu seminaryum dla przyszłych księży grecko-katolickich, mające, ma się rozumieć, na celu zgermanizowanie ich. Uczono tam mało, klauzura była słaba, łatwość wielka nie uczenia się a dostawania książek najrozmaitszej wartości i treści — skutek takich stosunków wiadomy.

Opowiadano mi fakt autentyczny, który się zdarzył w tem seminaryum. Dwóch kleryków w świeckiem przebraniu przyszło do teatru na przedstawienie „Pięknej Heleny“ Offenbacha. Była to wtedy nowość. Wyszli w usposobieniu jak się zdaje odpowiednio podnieconem i jeden z nich zaczepił jakąś dziewczynę spotkaną na ulicy — otrzymał policzek i... oddał go!! — biedna dziewczyna narobiła krzyku, policya pojawiła się za późno, obaj przyszli duszpasterze uciekli. Ale ojciec dziewczyny — jakiś rzemieślnik wiedeński, jak się później pokazało — miał pewne poszlaki, zaczął śledzić, poszedł z córką na mszę do kaplicy gr. unickiej będącej przy seminaryum i poznano winowajcę. Można wreszcie tłómaczyć sam fakt trudnością kontroli i dozoru, mnogością kleryków rozmaitej wartości, ale jak uniewinnić dyrekcyę tego seminaryum, która postarała się o pieniężne wynagrodzenie poszkodowanej, aby się sprawa nie oparła o sądy a kleryka zatrzymała w seminaryum! Cóż dziwnego, że wychodzili stamtąd księża dla których całe ich życie było jednym ciągiem kłamstwa i fałszu. Wychowywał się w tem seminaryum i ów dziekan, zwolennik Büchnera.

Nie chcę jednak, żebyś mnie Pan fałszywie zrozumiał i niesłusznie o jakiś skrajny klerykalizm posądzał, jestem bardzo wyrozumiały na rozmaitość zapatrywań i jako profesor filozofii nie dziwię się, że dochodzą ludzie do materyalistycznych poglądów na świat i przypuszczam, że mimo to nawet mogą uczciwie żyć i nie być jednostkami szkodliwemi społeczeństwu, jakkolwiek sam takich poglądów nie podzielam, odmawiam jednak uczciwości księdzu, który zostaje nadal kapłanem pamimo, że stracił wiarę albo co gorsza, wyświęca się straciwszy ją. A mam informacye ze strony dobrze mi znanych młodych ludzi o księżach, głównie z obozu ukraińskiego, którzy na ławie szkolnej byli materyalistami! Niech wierzy kto może, że się później nawrócili!

Oczywiście, że taki ksiądz materyalista z przekonań bywa mniej dobrym dusz-pasterzem, ale za to jest on doskonałym agitatorem politycznym. — Konkordia go nie krępuje — tak zwaną kradzież dusz praktykuje on z całą swobodą — chrzest staje się dla niego doskonałym i bardzo skutecznym sposobem powiększania przyrostu ludności ruskiej.

Więc nowa komedya, nowy fałsz.

A czyż fałszem i komedyą nie są ze strony ruskiej wszystkie żądania zgody wobec kryjącego się poza wszystkiem hasła wyrzucenia Lachów za San, a co najważniejsza w obec tajemnicy znanej wszystkim, że ci krzykliwi przewódcy obu ruszczyzn tracą racyę bytu z ustaniem walki, że ta walka i ciągłe szczucie i bałamucenie ludu jest tem, co im zapewnia mandaty, a mandaty są tem, co ich wyciąga z nicości — jak to już wspominałem.

Również komedyą, z tego samego powodu, są ich krzyki, że nie chcą Sejmu, przecież bez Sejmu zapadną w nicość z której wyszli.

Komedyą — i to najniebezpieczniejszą — jest udana wiara w potwarze, które sami szerzą, w rodzaju tych, że polscy nauczyciele katują młodzież ruską po szkołach, że taki nauczyciel zabił Kochańczyka, że Kocko zginął od kuli polskiej. Dochodzenia sądowe wykazują wprawdzie mylność ich twierdzeń, ale to zupełnie nie osłabia ich werwy w wynajdywaniu nowych fałszów i rzucaniu nowych potwarzy!

Rekord złej wiary w podnoszeniu niesłusznych zarzutów należy przecież moskalofilom! Oto ciągle skarżą się w Petersburgu na galicyjskich Polaków, że im nie dają szkół w języku „russkim“, t. j. rosyjskim wobec czego nacyonalistyczne dziennikarstwo rosyjskie grozi nam represaliami.

W tym wypadku już nietylko moskalofile ale i nacyonaliści rosyjscy grają komedyę, udają bowiem, że nie wiedzą o tem, że wobec ustaw austryackich szkoła w języku w państwie nieużywanym jest niedozwoloną, i że w razie nawet gdyby Sejm galicyjski uchwalił założenie szkoły z rosyjskim językiem wykładowym, rząd wiedeński sprzeciwiłby się takiej uchwale jako niezgodnej z zasadniczemi ustawami państwa, a ukraińcy sławiliby sprawiedliwość Niemców, która ich uchroniła przed nowym zamachem Lachów na ich narodowość, tak podstępnie obmyślanym.

Z lekka potrąciłem o ten odmęt konwencyonalnych i niekonwencyonalnych kłamstw i fałszów utrudniających każdy nasz krok na polu polityki narodowej, ale są także i złudzenia nie mniej dla nas szkodliwe. Złudzeniom ule-

gają niektórzy z naszych statystów, mianowicie w zachodniej części kraju, jeżeli wierzą w skuteczność układów z Rusinami i w możność zgody, złudzeniu ulega każdy, ktory wierzy w szczerość ich uczuć patryotycznych i rzeczywistość ich krzywd. Ktokolwiek ma tę naiwną wiarę niech wprost zapyta: „Panowie ukraińcy, czemu w Dumie nie upominacie się o wasze prawa? czemu tam nie robicie obstrukcyi? *hic Rhodus hic salta!* a może was tam całkiem niema? toby było najgorzej!“ O ile wiem wspomniał niedawno w Dumie jeden z Polaków o języku ukraińskim — podobno nie odpowiedziano mu nawet.

Łudzą się Niemcy wiedeńscy co do obiecywanej pomocy ukraińców, a nie widzą, że ich anarchizm i radykalizm, którego rozkładowe działanie już odczuwamy w Galicyi, musi się w skutkach swoich odbić i na reszcie państwa, co więcej musi się przyczynić do wzmocnienia żywiołów antydynastycznych!

Historycznem jest łudzenie się Stolicy Apostolskiej co do roli jaką Rusini mają odegrać w nawróceniu Wschodu — wiedzą oni o tem łudzeniu się i należycie je wyzyskują — bo w wyzyskiwaniu wogóle wszystkiego, co może się na ich korzyść obrócić, są oni mistrzami.

Jak świetnie n. p. umieją oni wyzyskiwać złudzenia obecnego metropolity swego. Nie łudzi on się może tak jak Stolica Apostolska, co do przyszłej roli Rusi w nawracaniu Rosyi, nie wątpię, że wie on doskonale jak wielkie jest raczej niebezpieczeństwo utracenia tej Rusi dla katolicyzmu, ale łudzi on się nadzieją zatrzymania jej na przyszłość w unii z Rzymem. Jeżeli miał jakie złudzenia co do poziomu moralnego i wogóle usposobienia kleryków ruskich, to niewątpliwie zajścia w seminaryum lwowskiem musiały mu oczy otworzyć na smutną rzeczywistość! Nie zamarły tam tradycye grecko-katolickiego seminaryum w Wiedniu. Ale metropolita jako dobry katolik pracuje dla Rzymu, wierzy w przyszłość i widocznie postanowił iść dalej *usque ad finem*. Zerwał bowiem z wiekową tradycyą swojej rodziny szlachetnej i zasłużonej w każdym kierunku, po mieczu i po kądzieli, odrzucił zasadę *gente Ruthenus natione Polonus* i żeby zdobyć sobie wpływ w stronnictwie ukraińskiem, popiera je bez względu na szkody które wyrządza naszej sprawie narodowej. Wierzy, że takiem postępowaniem ujmie sobie i nawróci tych radykałów i anarchistów — poczciwy, zacny! Gdyby to przynajmniej katolicyzm odniósł rzeczywistą korzyść z działania W. księdza Metropolity! Jakie jest jednak usposobienie jego owieczek i jakie uznanie dla jego pracy, mógł się o tem przekonać w Ameryce, gdzie te owieczki nie krępowane żadnymi względami dały swobodny wyraz swoim uczuciom wobec arcypasterza. Bardzo utrudnia W. ks. Metropolicie pracę nad utrwaleniem katolicyzmu i łączności z Rzymem duchowieństwa grecko-katolickiego, instytucya, którą ja nazywam „przymusem małżeństwa“. Wiadomo że małżeństwo dopuszczalne jest dla przyszłych księży tylko przed wyświęceniem. Otóż niewątpliwie ogromna większość starych kawalerów nie dla tego tylko nie ożeniła się, że z roku na rok odkładali tak ważną sprawę jak małżeństwo, prawie każdy z nich byłby się ożenił, gdyby miał nieprzekraczalny termin i to przypadający na wiek bardzo młody, w którym łatwiej się namyśleć! U kleryków przybywa jeszcze jeden bardzo ważny czynnik, oto jedynym prawie środkiem zdobycia sobie protekcyi starszych księży posiadających córki, a co ważniejsza protekcyi wujów i stryjów tych panien, będących kanonikami lub profesorami na wydziale teologicznym, jest ożenienie się z jedną z tych panien! Jest to wprawdzie często *une douce violence*, ale bądź co bądź prawie przymus, z pod którego nie wielu się wyłamuje. Tych obrażeni ojcowie — jak to parę razy na własne uszy słyszałem — nazywają „karyerowiczami“ bo tylko nieżonaci mogą zostać kanonikami. Jeżeli zaś który z tych zostających w celibacie kończył studya w Rzymie, dodają pełen żółci epitet: *Rymlanyn* oczywiście nie świadczący o zbyt przychylnem usposobieniu tych kapłanów dla unii z Rzymem. Znający trochę te stosunki Niemiec nazwał to: *Heiratszwang* a ponieważ ów przymus nie zawsze bywa „słodkim przymusem“, toteż złe małżeństwa między duchowieństwem ruskiem są dość częste i stają się wtedy gorszącym dla owieczek przykładem. Nie dziw przeto że W. ks. Metropolita zgodnie z Stolicą Apostolską dąży do wprowadzenia celibatu. Znowu złudzenie! Podobno już były bardzo nieśmiałe próby i propozycye w tym kierunku, zgromadzone duchowieństwo grecko-katolickie przyjęło je ironicznymi wprost grubiańskimi okrzykami! Zastrzegam się, że tem przedstawieniem rzeczywistych stosunków nie zamierzałem uchybić zacnym kapłanom i dobrym małżeństwom znanym mi osobiście.

Nie wyczerpię jednak wyliczania tego długiego szeregu z jednej strony kłamstw i fałszów z drugiej zaś złudzeń i zawodów, które nam tak utrudniają działanie i na ciągłe szkody i straty narażają. Jeżeli więc zagranica robi tak często nam Polakom rozmaite zarzuty co do naszego postępowania, niechże przynajmniej wie i uzna, jak wyjątkowo trudną i zagmatwaną jest nasza sytuacya polityczna. Dla tego też bardzo wdzięczni jesteśmy cudzoziemcom, którzy chcą przypatrzyć się naszym stosunkom i bezstronnie je ocenić.

Tak mniej więcej informowałem Francuzów, którzy w ciągu ostatnich 14-stu miesięcy byli w naszym kraju.

Że każdy informator musi w mniejszym lub większym stopniu zabarwiać swoje informacye podmiotowym sposobem widzenia opisywanych stosunków, rzecz to prawie nie do uniknięcia, mianowicie w przedmiocie tak drażliwym i roznamiętniającym jak sprawy polityczne. Co do mnie starałem się być o ile możności szczerym i mówić o wszystkiem bez konwencyonalnych przemilczeń będących u nas w dość ogólnem użyciu.

Lwów 2. grudnia 1910. r.

Aleksander Raciborski.

Liberalizm w polityce szkolnej.

W sejmach dwu krajów rdzennie austryackich pojawiła się w czasie ubiegłej sesyi bardzo charakterystyczna dążność do skrócenia czasu obowiązkowej nauki szkolnej. W sejmie karynckim uchwalono wniosek posła Steinwendera, domagający się zmiany ustawy szkolnej z r. 1868 w tym duchu, by czas obowiązkowej nauki szkolnej wynosił nie 8 lat jak dotąd, lecz tylko 6. Podobnie w sejmie dolnoaustryackim postawiono wniosek skrócenia czasu obowiązkowej nauki szkolnej w gminach wiejskich do lat 7. Wnioski te odpowiadają życzeniom ludności wiejskiej i z tych sfer pochodzą, a są oznakami przesilenia liberalnego kierunku w polityce szkolnej.

Ustawa z 25. maja 1868, na której opiera się dzisiejszy ustrój szkoły ludowej w krajach austryackich, przedłuża czas obowiązkowej nauki szkolnej, który dotąd obejmował 6 lat, o 2 lata. Ograniczyła to do pewnego stopnia ustawa z 2. maja 1883, przyznająca pewne ulgi dzieciom niezamożnych rodziców po ukończeniu 6 lat nauki szkolnej, a także całym gminom wiejskim, o ile zażądają tego rady gminne. Faktycznie nawet w zachodnich prowincyach nie wszędzie przeprowadzony jest ośmioletni czas nauki obowiązkowej. W naszym kraju przedstawia się stan faktyczny tak, że w miastach, w których istnieje szkoła wydziałowa, obowiązek uczęszczania na naukę szkolną trwa przez lat 7, we wszystkich innych miejscowościach lat 6, poczem jeszcze obowiązuje nauka dopełniająca przez trzy lata.

Fakt, że w 40 lat po wprowadzeniu tej ustawy domaga się jej ograniczenia ludność włościańska kraju, w którym od czasów Maryi Teresy bardzo intensywnie pracowano na polu szkolnictwa ludowego, w którym już w r. 1830 z dzieci w wieku szkolnym 97%, a w r. 1848 prawie 100% faktycznie do szkoły chodziło, jest bardzo charakterystyczny. Wszelkie oburzenia na reakcyjność i klerykalizm chłopów nie zakrzyczą tego faktu, że w ciągu 40 przeszło lat szkoła ludowa nie wyrobiła w tych warstwach przekonania o nadwyżce korzyści, które daje, ponad ciężary, których wymaga. Bądź co bądź chłop austryacki powiedział niedwuznacznie, że w dzisiejszych warunkach, wobec braku rąk do pracy na roli małego właściciela ziemskiego, szkoła nie wynagradza mu należycie straty, którą mu wyrządza pozbawiając go przez 8 lat pracy jego dzieci.

Zajmujemy się tym objawem nie tylko dlatego, że wobec przymusowej symbiozy nie mogą być nam obojętne symptomata przeżywania się zjawiska tak ważnego dla naszego zaboru, jak liberalizm w Austryi. Zestawienie z naszymi stosunkami jest tu wcale interesujące. Nasze włościaństwo nie powiedziało jeszcze tego, co powiedział chłop niemiecki w Austryi — oczywiście nie dlatego, żeby było bardziej „postępowe". Niewątpliwie potrzeba rąk do pracy na obszarze drobnej własności ziemskiej nie jest u nas tak wielka, jak w krajach zachodnich monarchii, i wartość pracy członków rodziny dla gospodarza jest u nas mniejsza. Możnaby też i o tem pomyśleć, że nasi chłopi nie mają jeszcze własnego poglądu na sprawę szkolną, a polityka szkolna ich reprezentantów parlamentarnych oryentuje się przeważnie według innych czynników. Bądź jak bądź enuncyacye ludu wiejskiego w sprawach szkolnych brzmią bardzo liberalnie: zwracają się n. p. przeciw dwutypowości szkół ludowych i seminaryów nauczycielskich. Ale jest rzeczą całkiem widoczną, że przyczyna tego leży w pędzie do szkoły średniej, który obudził się wśród naszych włościan z końcem ubiegłego stulecia, a któremu sprzyja konkurencyjna dążność Rusinów do obsadzenia jak największej ilości posad w służbie państwowej i krajowej swoją inteligencyą. Wyższy typ szkoły ludowej ma dla ludności wiejskiej naszego kraju wartość nie sam przez się, lecz dlatego, że otwiera jej dostęp do szkoły średniej a przez nią do zawodów „inteligentnych", co wobec taniości szkoły średniej a braku przemysłu jest obok emigracyi zarobkowej prawie jedynym, a w każdym razie najkorzystniejszym sposobem zmniejszenia nadmiaru ludności na roli. Stąd na szkole średniej skupia się dziś uwaga całego społeczeństwa ze szkodą dla innych problemów polityki szkolnej. Z kwestyi, związanych ze szkolnictwem ludowem, dwie tylko zdołają obudzić jakieś zainteresowanie się w szerszych warstwach społeczeństwa: sprawa narodowa i postulaty zawodowe nauczycielstwa; kwestya o ile szkoła ludowa odpowiada potrzebom ludu i spełnia zadanie, dla którego została stworzona, budzi dziś chyba teoretyczne zaciekawienie. Musi się to niewątpliwie zmienić z chwilą, gdy napływ synów włościańskich do szkół średnich wywoła taką podaż pracowników inteligentnych że nowe jednostki nie znajdą posad; wtedy osłabnie wśród ludu ów pęd w górę, szkoła ludowa przestanie być dla niego przygotowawczem stadyum do szkoły średniej i wtedy usłyszymy autentyczną odpowiedź ludu na pytanie, jaką wartość ma dla niego szkoła ludowa. Chwila ta może nie daleka; od roku 1906/7 frekwencya w szkołach średnich wykazuje wprawdzie stały przyrost w porównaniu z rokiem poprzednim, ale przyrost ten wyraża się cyfrą coraz mniejszą; co więcej — przyrost ten przypada tylko na wschodnią część kraju, w zachodniej daje się zauważyć nawet zmniejszenie się frekwencyi. Znaczy to, że naszemu chłopu ukończenie gimnazyum nie daje takich korzyści życiowych, któreby równoważyły koszt nauki w szkole średniej, i że, abstrahując od zalewu ruskiego, stoimy w przededniu uregulowania napływu ze stanu włościańskiego i robotniczego do zawodów umysłowych. Zbliża się zatem czas, kiedy szkoła ludowa stanie się rzeczywiście tem, czem w pierwszym rzędzie być powinna, szkołą ludności rolnej i pracującej ludności miejskiej, powołaną do spełnienia misyi kulturalnej wśród tych warstw, i kiedy te warstwy z tego punktu widzenia sąd swój o niej wydadzą. Niestety zachodzi uzasadniona obawa, że nasza szkoła ludowa nie przedstawia takiego stanu, żeby sądu tego spokojnie mogła oczekiwać.

Zwrócę tu uwagę na dwie cyfry, wzięte z ostatniego sprawozdania Rady szkolnej krajowej. (I, str. 29.). Liczba dzieci w wieku 6—12 lat, normalnie rozwiniętych a nie pobierających

żadnej nauki, ani szkolnej ani domowej, wynosiła w roku 1908/9 157.287, czyli 13·5% ogólnej liczby 1,164.226 dzieci w tym wieku. Liczby powyższe obejmują tylko dzieci tych gmin, które należą do zakresu szkół ludowych czynnych. Oprócz tego nie pobierały żadnej nauki dzieci tych gmin, które należą do zakresu 176 szkół nieczynnych, oraz dzieci tych 454 gmin, które szkół jeszcze nie posiadają. Cyfra ta wykazuje, ile jeszcze zostaje u nas do zrobienia. Jakie zaś przekonanie o wartości nauki szkolnej w stosunku do ciężarów, jakie ona nakłada na jednostkę, wyrobiła nasza szkoła ludowa, to ilustruje druga grupa cyfr. Liczba dzieci w wieku 13—15 lat, normalnie rozwiniętych, zatem obowiązanych do nauki dopełniającej a nie pobierających jej, wynosiła w r. 1908/9 w gminach, w których ta nauka jest zorganizowana, 55.533. Liczba uczniów i uczenic uczęszczających w tych gminach na naukę dopełniającą—153.077. Zatem tam, gdzie istnieje możność pobierania nauki dopełniającej, nie korzysta z niej więcej niż $^1/_4$ obowiązanej do niej młodzieży. Dla porównania godzi się przypomnieć, że w Austryi dolnej już w r. 1847 z dzieci obowiązanych do nauki szkolnej prawie 100% rzeczywiście pobierało naukę.

Myliłby się, ktoby to niewykonanie programu uważał za objaw występujący wyłącznie w Galicyi; jest to, zdaje się, choroba ogólnoaustryacka. Jej symptomata można obserwować n. p. w szkolnictwie Wiednia. Oczywiście wobec bardzo odmiennych warunków fakta wyglądają bardzo odmiennie. Szkoły ludowe w Wiedniu cierpią na przepełnienie, a nieskuteczność nauki w nich wyraża się ogromną cyfrą 33.000 repetentów. A więc i tam konstatuje się niemożność wykonania programu. A nie pomylimy się prawdopodobnie, jeżeli za jedną z najważniejszych przyczyn tej choroby uznamy zbytni liberalizm ustawy organizującej szkolnictwo i całej polityki szkolnej.

Liberalny centralizm rządu wiedeńskiego wpłynął bardzo znamiennie na naszą politykę szkolną. Stawiając te same normy dla naszego kraju, który wskutek działalności urzędników austryackich przedkonstytucyjnej ery tak daleko pozostał poza krajami zachodnimi, co dla krajów rdzennie austryackich, które miały za sobą 100 lat intensywnej pracy oświatowej, zainaugurowanej jeszcze przez Maryę Teresę, nadał naszej polityce szkolnej cechy pospiesznej roboty terminowej. Szczególnie doniosłym w tym względzie dla dzisiejszego ułożenia się stosunków był fakt, że kiedy w ostatnim dziesiątku ubiegłego stulecia młodzież włościańska zaczęła zalewać nieprzygotowane na to zupełnie gimnazyum, liberalne zasady organizacyi szkoły średniej nie pozwoliły naszym władzom szkolnym ująć w karby tych fluktów. Nastały czasy spiesznego rozszerzania zakresu szkoły kosztem ogromnego obniżenia poziomu, z czem do dziś dnia walczymy. Jeżeli dla samej szkoły średniej ten pospieszny rozwój możemy dziś uznać za fakt wogóle dodatni, bo zmusił nas do szybszego choć nie głębokiego postępu, sprawił, że co do ilości produkowanej intelligencyi zrównaliśmy się z krajami zachodnimi, a co do warunków zewnętrznych nauczania (ilości i uposażenia szkół) znacznie zbliżyli, żeśmy powiększyli znacznie teren, na którym po przejściu przesilenia będzie można z powodzeniem prowadzić gospodarkę intensywną — to nie można zapominać o jego ujemnych skutkach dla szkolnictwa ludowego i dla całości pracy oświatowej. Zaangażowanie całej energii intellektualnej naszego społeczeństwa w szkole średniej pozbawiło jej szkołę ludową; z drugiej strony wzbudzenie u ludności rolnej i robotniczej apetytu na szkołę średnią i korzyści, które ona daje, wywołało lekceważenie szkoły, która tym warstwom da nie dostęp do innych sposobów zarobkowania, lecz możność pogłębienia życia i skuteczniejszej pracy w tych warunkach, w których im żyć i pracować wypadnie.

Jeżeli tedy konieczną jest w obecnej chwili, kiedy zaczyna się wytwarzać pewna równowaga w sprawach wychowania publicznego, rewizya zasad polityki szkolnej, to pierwszym wielkim jej postulatem jest obliczenie możności wprowadzenia programu w życie. Następnie trzeba w nim wysnuć konsekwencye z niektórych prawd, o których nie wiedział liberalizm w swym jednostronnym intellektualiźmie. Przedewszystkiem skoro wiedza tylko dla nielicznej mniejszości może być wartością absolutną, a dla ogółu ludzi musi służyć wartościom życiowym, to ofiary, jakich żąda szkoła od wychowanka i jego rodziny, nie mogą przewyższać korzyści, które za to daje wzamian; inaczej będziemy mieli przymus szkolny w znaczeniu dosłownem. Powtóre, skoro rozum nie jest jedyną władzą człowieka a nauka jedynym środkiem wychowawczym, skoro czynny charakter natury ludzkiej wogóle a zwłaszcza dziecka jest dziś powszechnie uznany, skoro robota ręczna jako czynnik kształcący zdobywa sobie szkołę średnią, pozbawianie rodziców pomocy dziecka przy pracy nie jest koniecznością pedagogiczną, przeciwnie połączone jest ze szkodą wychowawczą. Wreszcie — skoro niema pewnych wspólnych wszystkim ludziom władz duchowych, a są tylko cali ludzie, którzy działają w pewnych środowiskach i wskutek oddziaływania tych środowisk kształcą się, twierdzenia o konieczności jednolitej szkoły są tylko frazesem. Postępowy program szkolny, któryby z tem się nie liczył, nie będzie w harmonii z postępem myśli ludzkiej i nauki wychowawczej.

B.

Wiadomości polityczne.

Winowajcy w sprawie Rydzyny.

W sprawie rydzyńskiej ogłosił redaktor naczelny lwowskiego *Dziennika Polskiego* (d. 10. grudnia) rozmowę z p. Natanem v. Loewensteinem, zastępcą i doradcą prawnym p. Antoniego Wodzickiego i Henryka Potockiego. W rozmowie tej p. Loewenstein skupił obronę swego klienta i swoją na dwu punktach.

Nasamprzód, co do ostatniego procesu pp. Tomasza, Władysława oraz Augusta Potockich z fiskusem pruskim, w czasie którego adwokat Loewenfeld, zastępca p. Wodzickiego i Loewensteina na gruncie pruskim, powołał się na przychylną dla rządu a niekorzystną dla agnatów opinię prof. Kippa z Berlina,

oświadczył p. Loewenstein, że klienci jego „w procesie tym udziału nie brali, przeciwnie odmówili stanowczo uczestnictwa“, że dalej „adwokatowi Loewenfeldowi wprost zabronili aby w ich imieniu brał udział w tym sporze“, że wreszcie „nieprawdą jest, ażeby hr. Wodzicki wprost lub przez swego pełnomocnika zamówił opinię prof. Kippa dla roszczeń Tom. hr. Potockiego nieprzychylną“.

W odpowiedzi na to pisma poznańskie (*Dziennik Poznański* z d. 13. gr. i *Kuryer Poznański* z d. 13. gr.) oświadczają zgodnie na podstawie bardzo dokładnych wiadomości: „Jeżeli p. dr. Loewenstein w swojem i hr. Wodzickiego imieniu wypiera się związku z opinią prof. Kippa, zamówioną przez obrońcę hr. Wodzickiego, adw. Loewenfelda, natenczas prosimy wyjaśnić kto zapłacił honoraryum adw. Loewenfeldowi oraz prof. Kippowi za jego broszurę z opinią o Rydzynie; są bowiem piśmienne dowody na to, że oficyalny zastępca rządu, adwokat Schlüter w Lesznie do ostatniej chwili wcale nie wiedział o zamówionej broszurze, a wręczył dwa dni przed jej nadejściem wywód tak sprzeczny z ową opinią, że wywód ten oficyalnie cofnął“. Wobec tych fakktów zatem „pp. hr. Wodzicki i dr. Loewenstein nie mogą się na to żadną miarą odwoływać, że Loewenfeld formalnie ich nie zastępował, bo tego zapewne nie odważą się zaprzeczyć, że zastępował ich interesy i że oni obiecali honoraryum; wykluczone zatem jest jakoby działał wbrew ich wyraźnemu zakazowi“.

Na podstawie tych wiadomości oraz własnych niedomówień i okrążań p. Lowensteina widać dosyć jasno jakiemi drogami sprawa poszła. P. Loewenfeld jako zastępca na gruncie pruskim pp. A. Wodzickiego, H. Potockiego i ich adwokata p. Loewenstaina, starał się o opinie uczonych prawników, bo wiadomo skądinąd, że ci panowie opinii takich poszukiwali. I wydobył rzeczywiście od prof. Kippa, który za darmo nie pracował i który otrzymał też honoraryum od tych panów, opinię nieprzychylną dla agnatów a przychylną dla rządu. Otóż pp. Wodzicki i Loewenstein rozumieli oczywiście, że skandal i zdrada narodowa byłyby zbyt jawne, gdyby p. Loewenfeld w ich imieniu, czyli gdyby poprostu oni sami przedłożyli w czasie procesu tę opinię na korzyść rządu pruskiego a na niekorzyść agnatów polskich. Wobec tego, jak powiada w obsłonkach p. Loewenstein, „zabronili mu aby w ich imieniu brał udział w tym sporze“. Ale nie zabronili mu wcale, aby w jakimkolwiek innym charakterze przedłożył tam opinię prof. Kippa, np. jako egzekutor testamentu ks. Sułkowskiego, albo drugi adwokat rządu i t. p. Otóż to właśnie jest niskie, podstępne, wykrętne i brudne. Wynika stąd bowiem, że adwokat pp. Wodzickiego, H. Potockiego i Loewensteina równocześnie „w innym charakterze“ wspiera rząd opinią, którą pp. Wodzicki i Loewestein oczywiście dobrze znali, a która była dla rządu najlepszą bronią, lepszą niż wywód adwokata rządowego. Jednem słowem p. Loewefeld, adwokat pp. Wodzickiego i Loewensteina idzie w sprawie rydzyńskiej ręka w rękę z rządem pruskim, co się tem wyjaśnia, że i rządowi i tym panom zależy na dojściu do skutku układu z r. 1908, bo wtedy rząd dostanie Rydzynę a ci panowie pieniądze. Jest to wręcz potworne.

Drugi punkt poruszony przez p. Loewensteina dotyczy owego sądu obywatelskiego, zwołanego przez p. Wodzickiego, o którym na podstawie pogłosek już wspominaliśmy. Okazuje się, że odbył się on dn. 25 października 1906, że sprawę przedstawiali wyłącznie interesowani i ich adwokaci, poczem uchwalono:

„Powołani do rady pp. Zdz. Czartoryski, J. Kościelski i Mielżyński uznają jednomyślnie, że ze względu na położenie sprawy rydzyńskiej załatwienie sporu z rządem przez ugodę nie byłoby sprzecznem ze stanowiskiem narodowem, a raczej wskazanem: 1) jeżeli zastępcy prawni, po zasięgnięciu opinii uczonych prawników i historyków polskich i niemieckich, względnie i zagranicznych, przyszliby do przekonania, że proces przedstawia zbyt małe widoki powodzenia; 2) jeżeli majątek, uzyskany przez ugodę, stanowić będzie poważny ekwiwalent dochodzonych roszczeń; 3-ci punkt dotyczy użycia ewentualnych funduszów w drodze ugody osiągniętych; o tym punkcie (mówi dr. Loewenstein) czas będzie mówić, gdy sprawa dojrzeje; zresztą jest on po części znany“.

Okazuje się zatem że ten wyrok wydany został tylko warunkowo. Łatwo przewidzieć, że sędziowie, którzy dali się wciągnąć w sprytne kombinacye p. Wodzickiego i jego polskich i pruskich adwokatów, będą wnet musieli ogłaszać, że nie wiedzieli z kim mają do czynienia, że się pewnych rzeczy nie spodziewali i t. d.

Na podstawie dotychczasowych wiadomości można, zgodnie z pismami zaboru pruskiego, ująć zarzuty przeciw pp. A. Wodzickiemu, H. Potockiemu i ich adwokatowi p. Loewensteinowi w następujący sposób:

1. poszli układem z września 1908 r. na rękę rządowi pruskiemu, który nie czuł się dobrze w swych prawach, bo inaczej nie byłby im dawał wielu milionów odczepnego;

2. zwolnili rząd z obowiązku niepodzielenia ordynacyi, przez co umożliwili mu zużycie jej na kolonizacyę;

3. podpisali w układzie warunek rządu, że „księżna Sułkowska jakoteż hr. Wodzicki i hr. Potocki przyrzekają nic nie podjąć, coby mogło utrudnić lub uniemożliwić dojście do skutku aktu familijnego albo też prawomocność jego zakwestyonować“, co znaczyło że stanęli po stronie rządu pruskiego a przeciw agnatom;

4. wypełniając ten uwłaczający im obowiązek kontraktowy, zamiast ostrzedz agnatów przed grożącem rozwiązaniem majoratu, trzymali przebieg układów przed agnatami w tajemnicy, chociaż przez swych zastępców dowiedzieli się, że kilka linii agnatów zamierza wystąpić z pretensyami do ordynacyi;

5. adwokat ich p. Loewenfeld szedł ręka w rękę z rządem pruskim i zwalczał najskuteczniej stanowisko agnatów.

Wobec tych zarzutów obrona p. Loewensteina jest poprostu niczem. Co więcej, z obrony tej widać, że pp. Wodzickiemu i Loewensteinowi nie pozostaje nic innego jak smutne wykręty. Wszak czepianie się pozoru, z góry

obmyślonego, że ich adwokat p. Loewenfeld przedłożył opinię prof. Kippa nie w ich imieniu, ale w innym charakterze, świadczy, że ci panowie dalecy są od dobrej wiary i jasnych dróg. Tak samo powoływanie się na warunkowy sąd obywatelski dowodzi, że nie wiele oni mają za sobą obron bezwarunkowych.

A dodać trzeba, że i sposób obrony p. Loewensteina rzuca na tych panów światło bardzo smutne. Gdy p. Loewenstein wspomina, że oskarżenia przeciw jego klientom „wychodzą zawsze z jednego i tego samego źródła i mają na celu nie obronę interesu publicznego, ale interesu drugiej grupy rodziny ks. Sułkowskiego“ słyszymy nieprzebierającego w środkach adwokata, który stara się oczernić podejrzeniem innych, aby od siebie odwrócić uwagę, nie licząc się z tem, że zatrzymanie Rydzyny w rękach polskich jest interesem publicznym i że oskarżenia wychodzą ze strony wszystkich uczciwych ludzi w społeczeństwie polskiem. Taksamo, gdy p. Loewenstein w rozmowie owej „sądzi zrazu, że nie należy reagować na zarzuty“, a potem „daje się przekonać“, gdy twierdzenia swe podaje „po krótkiem wahaniu“, jesteśmy poprostu świadkami niesmacznej komedyi.

Jednem słowem, nawet z tego, co i jak mówią w swej obronie sami winowajcy, rysuje się bardzo wyraźnie skandal i przeziera brud, brud i jeszcze raz brud.

Z Koła Polskiego.

Na posiedzeniu Koła Polskiego d. 6. grudnia uchwalono, że w sprawie kanałów porucza się pertraktacye z rządem i ze stronnictwami nie całemu prezydyum, jak postanawia zmieniony w r. 1908 statut, ale wyjątkowo samemu prezesowi. Jak wiadomo, w czasie ostatniej sesyi sejmowej złożył pos. T. Cieński na ręce pos. Głąbińskiego, jako prezesa Polskiego Koła Sejmowego wniosek, wzywający wiedeńskie Koło Polskie aby zmieniło ono swój statut w kierunku 1) przywrócenia dawnego stanowiska prezesa Koła w pertraktacyach z rządem i stronnictwami, 2) zniesienie klucza partyjnego w wyborach do komisyi, 3) ograniczenia możności absentowania się przy głosowaniach (por. *Rplta* nr. 38 i nr. 39 str. 204). Wniosek ten nie dostał się jeszcze pod obrady Koła Sejmowego ani Koła Polskiego. Ale w praktyce politycznej jedno z jego dążeń już zwyciężyło, w chwili gdy Koło Polskie wobec poważnego położenia pragnęło działać oględnie i skutecznie. Jest to najlepsza wróżba dla przeprowadzenia wszystkich zmian koniecznych do wzmocnienia siły politycznej Koła Polskiego.

Spis ludności.

D. 20. b. m. ogłoszony został w urzędowej *Gazecie Lwowskiej* bardzo jasny i bardzo ścisły okólnik p. Namiestnika do starostw w sprawie spisu ludności. Okólnik stwierdza, że agitacya polityczna objawiła się „najpierw w tym kierunku aby jednostki, należące do mniejszości narodowych, nakłonić do zapisania tego języka jako potocznego, którym się posługuje większość w odnośnej gminie, następnie zaś w tym, aby ludność żydowską nakłonić do zapisywania „języka żydowskiego“ (lub tzw. żargonu, jako potocznego, chociaż język ten prawnie uznany nie jest“. Celem przeciwdziałania tej agitacyi poleca p. Namiestnik: 1. bezzwłoczne usunięcie przez pp. starostów z pośród komisarzy konskrypcyjnych osób, które, zaznaczywszy się w agitacyi politycznej, nie potrafią zdobyć się na bezstronność; 2. dokonywanie spisu dom za domem, a tam gdzie choroby zakaźne lub zbytnie rozrzucenie domów na to nie pozwala, wzywać po kolei głowy domów pojedynczo a nie gromadnie; 3. odrzucanie przez komisarzy wszelkich ciał pomocniczych lub osób narzucających się z pomocą czy kontrolą; 4. nieuwzględnianie „języka żydowskiego“, a w razie oporu, mimo upomnień komisarza, rubryka odnosząca się do języka potocznego zostanie niezapisana, strona zaś oporna podlegnie karze przewidzianej w § 30 ustawy z d. 29. marca 1859 Dz. p. p. Nr. 67; 5. kontrolowanie spisu przez urzędników wysyłanych przez pp. starostów o ile możności jak najliczniej. Okólnik ten bardzo jasno i stanowczo staje w obronie prawa i wolności osobistej przeciw terrorowi politycznemu.

Kronika.

Z zaboru austryackiego.

Ku czci Stanisława Szczepanowskiego. Dnia 10. grudnia urządzony został w ratuszu lwowskim staraniem młodzieży obchód pamiątkowy ku czci Stanisława Szczepanowskiego. Na obchodzie tym skreślił p. Wacław Wolski wizerunek duchowy Szczepanowskiego, przedstawiając jak to z odmiennych pierwiastków duszy polskiej w epoce rycerskiej starał się on wykrzesać nowe siły i cnoty dla potrzeb życia nowoczesnego: „Właściwą duszy polskiej wewnętrzną konieczność realizacyi, której w pieśniach swych domagają się duchowi nasi przewódcy, tę marzoną czynów stal, stal dawnych damascenek, on pierwszy zdołał przekuć na dłuta i młoty: i tu jego niespożyta, historyczna zasługa“. Jako rys znamienny całej działalności publicznej Szczepanowskiego podniósł p. Wolski zaletę, której zawsze bardzo potrzeba: „Wysoka tolerancya dla wszelkiej możliwej, choćby odmiennej opinii, szacunek dla przeciwnika, zwyczaj przypisywania mu, podsuwania nieraz przemocą, szlachtenych pobudek, oto zalety polityczne, które kładły zawsze, wśród najzawziętszej choćby walki, most do porozumienia dla wszystkich ludzi dobrej woli i wiary“.

Sejm śląski. Równocześnie z Sejmem galicyjskim obradował sejm śląski w Opawie. W ostatnim dniu obrad posłowie polscy i czescy złożyli deklaracyę, w której oświadczyli, że nie podnosili na sesyi ubiegłej postulatów narodowościowych jedynie ze względu na toczące się rokowania w Wiedniu i Pradze, że jednak w dalszym ciągu domagają się równouprawnienia Słowian z Niemcami na Śląsku. A więc żądają, zwiększenia reprezentacyi w Sejmie ludności polskiej i czeskiej, która stanowi większość w kraju, sprawiedliwego obsadzania urzędów i posad, tudzież uposażenia szkolnictwa obydwu narodów na równi z niemieckiem.

Żydzi wobec spisu ludności. Agitatorzy syońscy i prasa żargonowa rozwijają wśród żydów usilną agitacyę za podawaniem przy spisie języka hebrajskiego, wzgl. żargonu, wzgl. niemieckiego, jako jęz. towarzyskiego. Natomiast żydowska partya socyalistyczna na zgromadzeniu w Krakowie uchwaliła, że językiem narodowym żydów jest tylko żargon i poleciła swym członkom w tym duchu agitacyę przy najbliższym spisie ludności.

P. Antoni Wodzicki złożył mandat do delegacyi (por. Rplta w. 43 str. 252, gdzie należy sprosto-

wać, że wiadomość o przedstawieniu p. Wodzickiego cesarzowi Wilhelmowi na wystawie łowieckiej była podobno następnie zaprzeczona w pismach).

Z zaboru rosyjskiego.

W sprawie szkół polskich. Pos. Harusewicz i członek Rady państwa Z. hr. Wielopolski udali się do ministra oświaty Kasso w sprawie znanego okólnika, zarządzającego wprowadzenie do szkół polskich w Królestwie liczby godzin jęz. rosyjskiego, jaka obowiązuje w gimnazyach rządowych i uzyskali obietnicę, że stosowanie okólnika jest niesłuszne w b. r. ze względów formalnych, w stronę zaś merytoryczną p. minister wchodzić nie może. Jak wiadomo okólnik jest sprzeczny z odnośnymi punktami prawa (por. *Rzplita* Nr. 40).

Związek oficyalistów rolnych. Sprawa zamknięcia w r. b. Związku oficyalistów rolnych na Rusi poddana została rewizyi. Obecnie delegaci Związku otrzymali w Petersburgu odpowiedź, że Związek otwarty nie będzie, bo był faktycznie instytucyą polską, gdyż na 3 tys. członków liczył 2600 Polaków, nieliczni więc Rosyanie byli narażeni na polonizacyę, z tego zatem względu Związek został uznany za instytucyę szkodliwą i przeciwną interesom państwowym.

Wolności konstytucyjne. Ministeryum kolei przystąpiło do opracowania ustawy, zapobiegającej przed opanowaniem urzędów kolejowych przez obcoplemieńców. W tym też duchu wydano ostatnio koncesyę na budowę kolei Podolskiej, pod warunkiem, że Polacy nie otrzymają na niej żadnych posad. — Władze przestrzegły duchowieństwo katolickie, że w kościołach wzbronione jest śpiewanie „Serdeczna Matko“ na melodyę „Boże coś Polskę“. — Jeden z ruskich dziennikarzy w Kijowie został skazany wyrokiem sądowym na 2 tyg. twierdzy za wydanie hymnu „Szcze ne wmerła Ukraina“.

Z Chełmszczyzny. Bractwo prawosławne w Chełmie wpadło na nowy pomysł rusyfikowania chłopów miejscowych. Oto w celu przeciwdziałania polskim kółkom rolniczym, założyło filię rosyjskiego t-stwa rolniczego p. n. „Russkoje Ziemo“, do którego jednak dotychczas oprócz zarządów bractw nikt z włościan nawet prawosławnych nie wstąpił. Wobec tego filii jeszcze nie otworzono, ponieważ według statutu liczyć musi najmniej 19 członków.

Z zaboru pruskiego.

Kurczenie się ziemi polskiej. W Prusach Królewskich wśród włościan polskich szerzy się sprzedawczykostwo w sposób zaraźliwy. Niedawno sprzedał Niemcowi swoje 40-morgowe gospodarstwo Franciszek Karczewski ze Starego Folwarku; w okolicy Świecia gosp. Józef Kufel sprzedał 160 mg. ziemi landratowi świeckiemu, który parceluje ją między Niemców. Za przykładem ich chcą pójść inni gospodarze, którzy od Polaków wymagają cen wysokich, a landratowi zamierzają sprzedać swoją ziemię po cenach znacznie niższych. W ręce niemieckie sprzedał swój folwark za 198 tys. mk. p. Leon Wendlikowski z Wiąga pod Świeciem, członek polskiego Kółka rolniczego, który dotychczas cieszył się opinią prawego obywatela.

Sidła na Polaków. Grono działaczów niemieckich w Poznaniu jako to pastorzy ewangeliccy, burmistrze, landraci i t. d., dobrawszy sobie dla dekoracyi jednego z kanoników poznańskich założyli „Ostdeutscher Wohlfahrtsbund“, do którego zdołali wciągnąć liczne szeregi polskich rzemieślników i robotników. Pisma polskie wykazują, iż ów „Bund“, ze względu na sam ustrój finansowy skazany jest na bankructwo, bądź też obliczony na łatwowierność rzemieślnika polskiego i ostrzegają przed wstępowaniem.

Spis ludności. Z licznych miejscowości donoszą o nadużyciach przy spisie ludności odbytym w dn. 1. b. m. Pisma poznańskie donoszą n. p., że kontrolerami byli przeważnie niemieccy nauczyciele ludowi, którzy staczali prawdziwe walki o rubrykę, że mieszkańcy władają językiem niemieckim, a gdy nic nie skutkowało, samowolnie „poprawiali“ blankiety spisowe. Fałszowano także inną rubrykę, znacznie ważniejszą języka macierzystego, a to szczególnie w niemieckich obszarach dworskich. Koła Polskie w Landtagu i Reichstagu zamierzają drogą interpelacyi domagać się korektury sfałszowanych cyfr.

Szykany pruskie. Władze odmówiły zarejestrowania związku polskich spółek gospodarczych na Górnym Śląsku, motywując odmowę tem, że związek łączyć ma jedynie spółki polskie, że zatem posiada cele polityczne. — W nowourządzonym kursie dla metalowców w Poznaniu niedopuszczono ani jednego Polaka, chociaż zgłosiło się do zapisu kilku rzemieślników polskich. — *Leipziger Neueste Nachr.* oburzone, że w pocztowym skorowidzu austryackim pomieszczono obok nazw niemieckich miast także nazwy polskie, wzywa zarząd poczt, aby nie doręczał przesyłek adresowanych polskiemi nazwami miast w państwie niemieckiem.

Ś. p. dr. Henryk Szuman. W d. 17. b. m. zmarł w Szwarzędu dr. Henryk Szuman, do niedawna prezes Koła Polskiego w Landtagu i poseł, ogólnie czczony za prawy charakter i pracowitość, którą okazywał pomimo podeszłego wieku do ostatnich dni życia. Urodzony w r. 1822 po odbyciu studyów uniwersyteckich we Wrocławiu, Berlinie i Bonn, wystąpił na arenę publiczną już w r. 1848 jako obrońca w głośnym procesie o spisku Mierosławskiego, w parę miesięcy później w czasie wypadków berlińskich został dowódcą legii akademickiej, potem adjutantem Mierosławskiego i brał udział we wszystkich potyczkach. Mandat poselski piastował od r. 63 do r. 87 z okr. Odolanów-Ostrzeszów, od r. 88 do końca r. b. z okr. Śrem-Środa-Września. Brał czynny udział w pracy społecznej, był przez czas jakiś prezesem Centr. Tow. gospodarczego, redaktorem *Dziennika Poznańskiego*. Na wszystkich stanowiskach, które zajmował, kierował się ś. p. H. Szuman żywem uczuciem patryotyzmu i interesu narodowego, służąc dla młodszych przykładem dzielnego i pracowitego obywatela.

Wydawca: **Dr. Adam Skałkowski.**
Odpowiedzialny redaktor: **Dr. Józef Browiński.**

Redakcya i Administracya: Lwów, ul. Sykstuska 46, ekspedycya ul. Murarska 31.

Drukarnia Ludowa we Lwowie, plac Bernardyński 7.